Nr. 7. Lwów, Niedziela dnia 14. Października 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Wydawnictwa ludowe.

Ludowa literatura nasza jest bardzo ubogą, i od lat kilkunastu w wydawnictwach dla ludu nastąpiła zupełna stagnacya. Zaledwie parę książeczek drukuje się rocznie i to są najczęściej przedruki z dawnych rzeczy.

Zdawałoby się, że po ostatniem powstaniu, którego główną zasługą było usamowolnienie i uwłaszczenie ludu, które stanowczą rewolucyą socyalną przeprowadziło, które z całą bezwzględnością zwróciło się do ludu i tam ratunku dla Polski szukało, i tam niewzruszone fundamenta dla niepodległości Polski założyło, — zdawałoby się, że po 1863 r. objawi się większy ruch ludowy i literatura na tem polu się ożywi. Dotąd jednakże tego nie ma. Przeciwnie biorąc miarę z ostatnich lat przed powstaniem, przyznać musimy, żeśmy się cofnęli wstecz. Dziwić się wszakże temu nie można, po każdem bowiem wysileniu następuje spoczynek, po każdym czynie reakcya, i im większe było wysilenie, tem większa reakcya następuje. W życiu narodów tak dobrze można obserwować to prawo natury, jak i w życiu pojedyńczych ludzi.

Skutki jednak powstania nie mogą być cofnięte. Naród, który składa na ołtarzu tyle ofiar, ile my złożyliśmy w 1863 r., dla jakiejś sprawy, musi ją silnie odczuwać. Chwilowy zastój pochodzi z osłabienia sił i jest tylko krótkotrwałym wypoczynkiem, po którym naród z nowemi a potężniejszemi siłami wstanie znowu do dzieła.

Przypatrzmy się położeniu, jakie sprowadziło powstanie ostatnie. Pod zaborem moskiewskim lud usamowolniony i uwłaszczony szybkim krokiem zdąża do dobrobytu, za którym idzie oświata. U nas w Galicyi z każdym rokiem liczba szkół przybywa, ilość uczęszczających do szkół ciągle wzrasta. Pod zaborem pruskim stosunki są najlepsze, tam lud już posiada pewną oświatę.

Za lat kilka może rzeczy już dojdą do tego stopnia, że lud zapyta u nas o książki. Cóż mu odpowiemy? Dzisiejsze zapotrzebowanie nie jest obsłużone, dziś nie mamy co dać ludowi do czytania, a czyż literaturę można stworzyć od razu? Będziemy zmuszeni tłumaczyć z obcych języków lub przedrukowywać Rinaldinich, Twardowskich i tym podobne rzeczy.

Chwila obecna jest bardzo ważną — jest to w życiu ludu naszego chwila, kiedy on z dzieciństwa wychodzić poczyna, należy więc głęboko nad tem się zastanowić, jakie mu książki dać do czytania, aby w młodym jego umyśle nie zasiać kąkolu. Należy dokładnie obmyślić zaspokojenie tej potrzeby.

Skoro książki dla ludu się nie drukują, nikt nie myśli o ich pisaniu. A pisarze ludowi nie wyrosną jak grzyby po deszczu, tylko ciągłą pracą mogą się wyrobić.

Zwracamy więc uwagę miłujących kraj obywateli na gwałtowną, że tak się wyrazimy, potrzebę zajęcia się wydawnictwem ludowem. Potrzeba ta jest, jak powiedzieliśmy, dwojaką. 1º Dostarczyć książek wyborowych dla ludu, który dziś nie może sobie znaleść w ludowej literaturze naszej pokarmu w ilości odpowiedniej do potrzeby i 2º Uprawiać tę niwę jak najgorliwiej, aby w miarę wzrostu liczby czytelników być w możności dostarczenia im w odpowiedniej mierze książek.

Już dziś masa młodzieży kończy szkoły ludowe i nie ma środków dalszego kształcenia się.

Zwykle Warszawa, co zresztą jest rzeczą naturalną, bierze inicyatywę we wszystkiem, co dla dobra kraju jest najpotrzebniejszem. Dla zbyt ostrej cenzury jednak, a właściwie że dla tego cenzura wcale na wydawnictwa ludowe w Warszawie nie pozwala, Warszawa nie może tem się zajmować i obowiązek ten na nas cięży w zupełności.

Ażeby podjąć wydawnictwo ludowe, nie dosyć jest chcieć tego, mieć odpowiedni kapitał i zapas rękopismu do druku, ale potrzeba czegoś więcej, potrzeba mieć zapewniony zbyt, bo inaczej nie tylko nie byłoby korzyści z wydawnictwa, ale widoczna strata wskutek nieprodukcyjnego użycia kapitału.

Chłopek, ukończywszy szkołę, wraca do chaty i zaledwie, że wie o istnieniu książek, ale chociażby mu się zechciało coś ciekawego przeczytać, nie potrafi odszukać książki, która aż hen gdzieś w wielkiem mieście się sprzedaje. Nauka, którą otrzymał, nie daje mu odpowiednich owoców, zapomina tedy początków wiadomości, których nabył, i jest złym przykładem dla innych, którzy nie widząc pozytywnych rezultatów z nauki — ze szkoły — nie chcą tam dzieci posyłać.

W dzisiejszem naszem położeniu potrzeba ofiar, ażeby nauczyć lud czytać książki. Potrzeba zakładać dla niego biblioteczki przy szkołach, z których za bardzo małą opłatą mógłby korzystać. Ta mała opłata miałaby podwójną korzyść, raz, że się więcej ceni to, za co się płaci, jak to, co się darmo dostaje, i powtóre, że z tej drobnej opłaty mogłaby biblioteczka powiększać się powoli.

Lecz któż ma zakładać te biblioteczki? Rady powiatowe? Gminy? Z prywatnej ofiarności? Zdaniem naszem wszyskie te i inne czynniki powinny się połączyć w tym celu. Główny ciężar spocząć powinien na barkach gminy i być wspierany przez ludzi dobrej woli. 25 złr. ofiarowane przez gminę na ten cel co roku, może być dostateczną kwotą na pokrycie zawiązków biblioteczki, która, raz zawiązana i stale podtrzymywana, wzrośnie prędko.

Doświadczenie jednak nam wskazuje, że same się rzeczy nie robią i że dla każdej myśli, choćby najzbawienniejszej, potrzebni są inicyatorowie i propagatorowie. A że pożądaną jest rzeczą, aby sprawa jednocześnie w całym kraju przeprowadzaną była, najstosowniejszem widzimy założenie czy pobudzenie do większej działalności istniejącego już *Towarzystwa oświaty ludowej*, które przez swoje filie po całym kraju mogłoby przeprowadzić zbawienną myśl zakładania biblioteczek ludowych.

Są to rzeczy tak znane, tak omówione i opisane na wszystkie strony, że piszący w niemiłem znajduje się położeniu powtarzania tego, co już tyle razy i przez zdolniejsze pióra powiedzianem było, — ale... dotąd niewykonanem.

Darują więc czytelnicy, że ich nudzimy

oklepanymi frazesami, wszelako musimy dopóty mówić, kołatać i nawoływać, dopóki rzecz sama czynem się nie stanie.

A pora już jest otrząść się z gnuśności, w jaką popadliśmy po ostatniem powstaniu, pora wziąć się do pracy.

Co do samego wydawnictwa, to na dwie strony takowego należy zwrócić szczególną uwagę — żeby książki dla ludu były jak najtańsze w stosunku do swojej objętości i praktyczne. Nie zaprzeczamy wartości książkom moralizującym, bawiącym, tylko że tych trochę w literaturze ludowej naszej już mamy, gdy znowu brak zupełny dzieł praktycznych: jak pszczelnictwo, ogrodnictwo, chów bydła, drobiu, o nabiale itp. i dzieł naukowej treści: historya, geografia, nauki polityczne, nauki przyrodnicze itp. Na te dwie gałęzi literatury ludowej szczególną potrzebaby zwrócić uwagę, zwłaszcza że ztąd dwojaką korzyść osiągniemy: że lud chętniej będzie czytał, widząc bezpośredni z czytania pożytek, i że ten pożytek będzie tak w rozszerzeniu prawdziwej, praktycznej oświaty, jak i w podniesieniu bogactwa kraju.

Dzisiejsze poruszenie umysłów spowodowane wojną Wschodnią, dzisiejsze podniesienie serc naszych i obudzonych nadziei, może da się praktycznie zużytkować wchodząc na drogę najwłaściwszą, na drogę, która od dawna stoi pusta i chwastami zarosła, na drogę da wskazania której setki tysięcy tak niedawno jeszcze poniosły męczeństwo, dla wskazania której naród złożył tyle ofiar z krwi i mienia.

Podnieśmy ten sztandar i skupmy się koło niego. W pierwszej chwili będzie nas garstka mała, jednak możemy być pewni, że głos tej garstki nie pozostanie głosem wołającego na puszczy. Wszyscy kochamy kraj i wszyscy chcemy dla niego pracować, lecz dopóki jesteśmy rozerwani, usiłowania jednostek są niewidzialne, należy się nam koniecznie stowarzyszyć. Towarzystwo oświaty ludowej zawiązane we Lwowie da impuls do pracy na tem polu i pozwoli rozstrzelone usiłowania jednostek ześrodkować. Kraj poprze Towarz. ośw. ludu, byle tylko ono samo miało energię i wytrwałość.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pozbywszy się go, lżej odetchnął nieszczęśliwy nasz przybylec, dopadł wózka, chłopcu zdrzemanemu dał w kark i kazał do domu pospieszać. Sądzono mu wszakże było tego dnia same spotykać niespodzianki. W drodze, nie dojechawszy do dworu, napędził pieszo wracającego z przechadzki starowinę księdza proboszcza Ziemca. Szedł on na plebanią, a postrzegłszy zwykłego swojego maryaszowego gracza, począł nań machać ręką i dawać mu znaki, aby do niego wysiadł. Choć dobrze zmęczony, Repeszko odesłał konie i zsiadł z wózka, pieszo już myśląc powrócic po rozmowie ze staruszkiem. Ale ten go na wieczerzę zaprosił, a wieczerza dla człowieka, co jej w domu nigdy nie jada, jest rzeczą miłą i pożądaną. Ks. Ziemiec się nudził, więc siedli zaraz do maryasza. Począł go pytać, gdzie był, co robił, kogo widział. P. Nikodem nie miał powodów tajenia się z niczem, a głowę miał pełną osobliwych wrażeń dnia tego, począł więc z wszelkimi szczegółami całą swą podróż i jej przygody opowiadać.

Dopóki była mowa o Mielsztyńcach, ks. Ziemiec głowę miał spuszczoną, milczał i nie przerywał; ale gdy począł o spotkaniu się z kasztelanicem, jakby go co tknęło, starzec karty rzucił, oczy podniósł i ramionami zżymnąwszy, niecierpliwie kilka razy mruknął.

— No! patrzajcież! no! jeszcze czego nie stało... do tej pory nie zapomniał.

Repeszko zdał jak najdrobnostkowiej sprawę ze swej utrapionej bytności w Rabsztyńcach, — uważając, że staruszek mimo to celu zaproszenia dobrze zrozumieć nie mógł i dopiero gdy przyszedł w opowiadaniu do ostatnich zapytań, proboszcz się rozśmiał i zawołał:

— A tuś mi! to tak jak w liście, gdzie post scriptum dopiero istotny interes zawiera.

— Wyspowiadałem ci się, mój ojcze, dodał p. Nikodem, teraz że mi to wynagródź choć kilku słowami, bo jestem jak w rogu tutaj. Ludzi nie znam, co się ze mną dzieje, nie rozumiem, ale ten szalony pałka Iwo Życki... jest dla mnie zagadką.

Ksiądz się zamyślił.

— A juści — rzekł po chwili poważnie, niektórych objaśnień waćpanu udzielić muszę, dla tego samego, abyś się w postępowaniu swem miał czem pokierować; ale zaklinam was, nie paplajcie!

— Ojcze dobrodzieju! — zawołał pan Repeszko, składając ręce. — Nie znacie mnie jeszcze, nie wierzycie mi, ale ja jestem milczący z natury, dobroduszny, w cudze się sprawy nie wdaję, swoich pilnuję, Boga chwalę i Jego bym obrazić nie chciał... Mówiąc to, tak świętoszkowską miał postać, że ksiądz, gdyby był miał lepsze oczy, byłbysię pewnie jej przeląkł.

— No, no — co do Jaksy ja jegomości zainformuję — szepnął — ale jeszcze raz przestrzegam, że jeśli tknę mimowolnie w opowiadaniu Spytków (bo to rzecz nieuchronna), niech to idzie jak w grób, jak w wodę.

— Ale jak w wodę! jak w wodę! — powtórzył uderzając się w piersi gość, który uszy nastawił, oczy otworzył i o mało na staruszka cały nie padł, tak się ku niemu pochylił, by nie stracić słowa.

Ksiądz Ziemiec po namyśle krótkim mówić począł:

— Są tajemnice rodzin godnych, od losu ciężko dotkniętych, które cierpią z dopustu Bożego; te każdy człowiek szanować powinien i ani nawet wnikać w nie, aby tych ran dotknięciem nie drażnił. Ale są kary Opatrzności domierzone na płochych i występnych, które publicznemi być winny, aby grozę i bojaźń obudzały. Nie potrzebuję dodawać, że właśnie w tych dwóch wypadkach są rodziny Spytków i Jaksów.

Co się pierwszych tyczy, niech tam tajemnica pokrywa, dla czego się od świata odsunęli i w odosobnieniu a godnie cierpią dolę swoję. Historya za to pana Iwona Jaksy Życkiego żadną dla ludzi nie jest tajemnicą i być nie powinna. Ojciec jego kasztelan p. .... wiele już na świecie dokazywał. Był żołnierzem, ale i warchołem niepospolitym; majątku natracił, żonę z klasztoru porwał, ludzi narąbał i nastrzelał niewinnych co niemiara, a jedynaka dziedzica tak wychował, że zszedł na to, czem go waszmość widziałeś.

Rodzina niegdyś godna, w Rzeczypospolitej wielkich i starych zasług, bodaj nie książęcego pochodzenia — ale w tej krwi przy wielkich przymiotach, i wielkie też trafiały się ekscesa. Złego znać tak było wiele, że miarę cnót przewyższyło i Bóg ich chłostać począł. Już w XVI wieku chylili się ku upadkowi. Nie pomogło i spokrewnienie z Firlejami, i nabyte przez nie bogactwa, i rzucanie się na różne strony; z każdem pokoleniem ubywało dóbr, znaczenia, wziętości, i schodzili coraz niżej, acz bez widocznych przyczyn upadku. Rodziny gałęź główna w końcu już przez jednego p. kasztelanica była reprezentowaną, a temu został syn jedynak Iwo. Nie szczędzono na wychowanie, a natura też darów nie poskąpiła, ale wszystko szło można powiedzieć, w liście; młodzieniec bujał, świetniał, rozpraszał się i nigdzie do niczego dosiądz nie mógł. Ojciec zmarł, swoboda smakowała, fantazya gnała, rzucił się za granicę; ale nigdzie miejsca nie zagrzał, choć wszędzie sławę pozyskiwał łatwo. Tam kogoś porąbał, tu zastrzelił, owdzie burdę głośną zrobił i trzeba się było wynosić. Jeszcze młody, ale dobrze świata zażywszy, wrócił do domu, sądząc, że on, co po całym niemal świecie sławę rycerską pozyskał, u siebie jeno się pokazać potrzebuje, by przed nim wszystko na twarz padało. Szumnie wystąpił w Rabsztyńcach... pojechał do stolicy na sejm, przepychem gasząc możniejszych; wrócił potem nazad, chcąc rozkazywać tu, a co mu w drodze stanęło, zmiatając zuchwale.

Ale Jaksy przepychy i swawole niedługo potrwać mogły, bo przy takiem życiu Rabsztyńce rychło w cudze ręce pójść musiały, a ludzie dobrze rachować umieją.

Tymczasem w sąsiedztwie wpadła w oko p. kasztelanicowi panienka, w której się szalenie pokochał. Była to panna Brygida Zbązka, z familii możnej niegdyś, ale podupadłej na majątku. Ojciec jej miał wieś jednę niewielką.

Muszę odrazu powiedzieć waszmości, że panna Brygida Zbązka jest dziś najgodniejszą z niewiast, małżonką mego dobrodzieja, pana Spytka z Mielsztyniec.

— A, teraz rozumiem!! — zawołał Repeszko.

— Nic jegomość nie rozumiesz, — odparł ksiądz.

— Ale przepraszam, już wiem dlaczego się tak o nią dopytywał — dokończył gość.

— Dajmy na to — rzekł ks. Ziemiec. Więc kiedyś waszmość zrozumiał, to i moja historya skończona. Kasztelanic się kochał w pannie na zabój, a Spytek się z nią ożenił.

— Ale jakże to było? jak? proszę księdza proboszcza.

— Tego ja nie wiem...

— Bo wyrwało się temu zawadyace słowo, że mi włosy na głowie stanęły. Gdy się mnie po raz pierwszy dopytywać o nią

począł... — rzekł — (ot, mogę jego własne powtórzyć wyrazy) rzekł wyraźnie: „Piękna pani! śliczna pani! Wygląda dziwnie młodo, śmieje się tak wesoło... jakby nigdy w życiu nikogo nie zabiła...“ Potem, postrzegłszy, że się wymówił niedobrze, zaklął mnie i zagroził, żebym tego nikomu a nikomu nie powtarzał.

— A po cóż mnie to mówisz? — spytał chmurno ks. Ziemiec,

— Ojcze! wam, to jak na spowiedzi — uniewinniał się Repeszko.

— Milczcież już, milczcie! na miłego Boga, nie chcę nic wiedzieć więcej, nie słucham — i nic nie powiem. Dosyć tego. Waszmość sobie narobisz nieprzyjaciół. Milcz! milcz!... proszę i zaklinam!... To mówiąc, rzucił ksiądz karty maryaszowe, Repeszko go w rękę pocałował i tak się rozstali.

Najmniej przenikliwe oko, patrząc na Mielsztyńce, odgadywało tam ukrytą boleść, jakąś pokutę, — ranę, która się oczów ludzi lękała; ale szacunek dla rodziny wstrzymywał lekkomyślną ciekawość. Zresztą położenie Mielsztyniec było z tego względu dosyć szczęśliwe, że chroniło od natrętnych sąsiadów; w okolicy była szlachta drobna i majątki wielkich panów. którzy tu nie mieszkali, a z wyjątkiem Studziennicy i Rabsztyniec, nikt prawie na życie Spytków nie zwracał uwagi. Czasem po dworkach cicho szeptano o tym zaklętym zamku, dziwne historye opowiadano o małym Spytku, o pięknej jego żonie, która namiętnie myślistwo lubiła, o synu bawiącym za granicą, o jakichś obrazach i podaniach starych w rodzinie, ale plotki te nie miały się czem nowem odżywiać i marły z niedostatku pokarmu; a to, co sobie ludzie mówili, tak było niejasne, tak sprzeczne, niepodobne do wiary, że nikt ani zbytniej wagi, ani wielkiego zaufania w prawdę tych baśni mieć nie mógł.

W samym zamku mielsztyńskim najstarsi nawet słudzy domu, których kilka pokoleń zżyło się z rodziną, nie wiele dziejów jej wiedzieli. Głębokie milczenie okrywało te tajemnicze przygody, zaszłe jeszcze wprzód, nim z Krakowskiego tu się na dobrowolne wygnanie przenieśli.

Różnie sobie tłumaczono te dwa wizerunki przodków na katafalkach, tę śliczną postać kobiety, która na białej szyi krwawą nosiła pręgę. Wiedziano tylko, że było w roku kilka aniwersarzy, do których się uroczyście przygotowywano, które obchodzono z wielkim przepychem modłów, mszy, wigilii, ekzekwii i nabożeństwa. Częste wspomnienia Emilii Spytkówny w pobożnych modłach, tradycya, że ją wystawiał ten portret wiszący w sali, że skończyła śmiercią tragiczną, nagłą, o której szczegóły nikt nie śmiał pytać, na nią szczególniej zwracały uwagę domowników. Wieczorem też, przechodząc około jej wizerunku, obawiano się nań spojrzeć, a głucha wieść twierdziła, że się często pojawiała z tą różą rozkwitłą w ręku, ukazując na szyję zakrwawioną. Mianowicie gdy nieszczęście jakie dotknąć miało Spytków rodzinę, duch Emilii zawsze się komuś objawiał. Rozsądniejsi mieli to za zwykłe baśnie, jakich pełno wszędzie. Starzy wszakże zasłyszeli, że od śmierci tej panny spadły wszystkie klęski na Spytków. Dzieci umierały w kolebkach; z żadnego małżeństwa więcej nad jedno, jakby tylko umyślnie na spadkobierstwo kary się nie wychowywało. Od kilku pokoleń żaden Spytek nie miał nad jednego syna, a choć pragnęli córki, nie przyszła na świat już żadna, owa Emilia była ostatnią..... Dziwnym też fenomenem, do którego przywiązywano pewne znaczenie, od tych olbrzymów na wizerunkach starych, Spytkowie zeszli na wzrost prawie karli; każdy z nich od ojca był mniejszym, a choć ułomnosci żadnej nie widać w nich było, maleli i drobnieli tak, że niemal wstydzili się światu pokazać. Każda z matek starała się wszelkimi sposobami dać swemu dziecięciu siły i bujność; karmiono je umyślnie, dawano ciału rozrosnąć się, ćwicząc je i krzepiąc: nic nie pomagało. Przychodzili na świat z nadzieją, że zwykłego dojdą wzrostu, potem nagle młodości brakło i przed zwykłemi laty rosnąć przestawali. Uważano nawet, że Eugeniusz, którego matka była pięknej i wspaniałej postawy, choć go w klimacie obcym, za radą lekarzy, żywiąc jak najposilniej, wychowywano. nie dorósł ojca i mimo najpiękniejszych kształtów ciała nadzwyczaj był wątły i drobny. Umysł w nim dojrzał przedwcześnie, władze duchowe się rozwinęły, lecz roślina ludzka, dotknięta jakąś fatalnością plemienia, na łodydze usychała.

Nie dziw, że nosząc na sobie to brzemię jakieś wspomnień tajemniczych i groźby przyszłości, Spytek ojciec był smutny i milczący. Cały też dom dzielił się tą żałobą jego, i rzadko się weselszy śmiech rozległ po komnatach starożytnego gniazda. Życie płynęło w nim, jak płyną głębokie rzeki, których powierzchnia nie ma marszczki na sobie, nie okrywa się pianą, zdaje się stać, a dno jej zwodniczo się ukazuje z za kryształów, choć jest niezgłębioną przepaścią.

Troska o dziecię, obrzędy, pobożne uroczystości żałobne, zachowywanie wszelkich podaniowych obyczajów, przywiązanych do pewnych dni w roku, czytanie, rozmyślanie, przechadzka w ogrodzie zamkniętym, — stanowiły całe życie Spytka, który się naówczas tylko ukazywał publicznie, gdy tego uniknąć nie mógł. Do tego trybu musiała się zastosowywać i pani, chociaż dla niej daleko to było trudniejszem.

Wychowana inaczej, spędziwszy młodość na swobodzie, w uboższym a gościnnie zawsze dla wszystkich otwartym dworku szlacheckim, panna Brygita musiała się, poszedłszy za mąż, zastosować do nawyknień męża. Poddała się warunkom jego życia, ale nie wyrzekła się jednej, dziwnej w kobiecie namiętności, zamiłowania w myśliwstwie. Ojciec jej był zapamiętałym łowcem; od dziecka córka mu w wyprawach towarzyszyła, strzelała jak żaden z mężczyzn, jeździła na najdzikszych koniach i choć w domu umiała dnie spędzac u krosien, gdy posłyszała trąbkę, gdy psy się odezwały pod oknami, zrywała się jak szalona i nic jej naówczas powstrzymać nie mogło. Spytek zrazu sądził, że powolnie pohamować potrafi tę pasyą, że ona z wiekiem sama ustanie, ale przekonał się w końcu, że była nieuleczoną i uległ jej, uznawszy słuszne za liczne ustępstwa żony wypłacić się wzajemnem. Chociaż sam nigdy w lesie nie bywał, myśliwstwo w Mielsztyńcach urządzone było po królewsku; psiarnię miał najsławniejszą w kraju, sieci, strzelców, osaczników i cały dwór osobny łowiecki, na którego utrzymanie wielka wioska ledwieby starczyła. Stary koniuszy, a razem nadłowczy, Kmiecic, towarzyszył zwykle nieodstępnie pani we wszystkich jej wycieczkach. Oprócz tego szedł na wypadek wózek parokonny, koń luźny, a maleńkich strzelbek do zmiany wieziono tyle, że nigdy na nabijanie ich czekać nie potrzebowała. Późną jesienią pani Spytkowa jeździła z chartami, które tak wilka brały, jak najprostszego kota, a w dojeżdżaniu nikomu się wyprzedzić nie dała i konie jej szły na równi z psami najrączszemi.

W lasach mielsztynieckich, które były rozległe, w puszczy sąsiedniej należącej do Zamojskich, nikomu polować nie było wolno, a zwierzynę niemal hodowano i liczono, aby jej na zwykłą porę nie brakło. Oprócz Kmiecica i służby nikt na tych łowach nie bywał, choć one budziły ciekawość niejednego.

Widywano tylko piękną panią na dzielnym koniu tureckim, przesuwającą się jak wiatr po polach, a za nią cały tłum myśliwców, wozy, psy, bryki, z sieciami i przyborem... Wszystko to przelatywało i nikło gdzieś w ciemnej puszcz głębi...

Niekiedy o krótkim dniu wracała już późno, a naówczas otaczali ją jezdni z kagańcami, i orszak ten, którego droga wyściełała się iskrami, zjawiał się i nikł śród ciemności, jak jakieś nocne widziadło. Daleka łuna, posuwająca się szybko, kazała się domyślać po włościach, że pani z polowania wraca, ale nim kobiety i dzieci na gościniec wybiegły, by ją zobaczyć, już orszak się przesunął, a po nim tylko niedogasłe szczęty gdzieniegdzie dymiąc konały.

Ludzie, co ją otaczali, mówili, że mimo zapału myśliwskiego, nigdy jej nie słyszeli mówiącej, nigdy nie widzieli uśmiechniętej wesoło....

Ze zsuniętą brwią jechała, goniła, strzelała, spoglądała na ubitego zwierza i powracała do zamku niezmużona, nie dając znaku po sobie, że w lesie kilkanaście godzin spędziła na skwarze, zimnie lub słocie.

I tego dnia, którego się spodziewano powrotu Eugeniusza z zagranicy, chcąc na jego spotkanie wyjechać, pani wzięła z sobą myśliwych i popędziła konno, a dopiero gdy syn się ukazał, z nim do powozu się przesiadła.

(C. d. n.)

SPRAWA POLSKO-PRUSKA

NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM,

przez

M. KANTECKIEGO.

(Dokończenie.)

Skandal, wywołany paszkwilem Falkenberga, tę przynajmniej ze sobą przyniósł korzyść, że przypomniał soborowi i Zygmuntowi sprawę, od tak dawna czekającą na rozstrzygnięcie. Przedewszystkiem tedy postarano się o przedłużenie rozejmu. Za zgodą obustronnych pełnomocników udało się Zygmuntowi na dniu 14. maja 1417 r.

*

prolongować zawieszenie broni na rok jeszcze jeden; wiadomość o tem doszła do Polski i Prus w czasie, kiedy i tam za pośrednictwem dorpackiego biskupa rozpoczęły się w tym samym celu rokowania.[1])

12 lipca 1417 r. odbyło się po raz pierwszy i ostatni, publiczne przesłuchanie polskich i zakonnych pełnomocników. Nasamprzód przedłożył Zygmunt obydwóm stronom pytanie, ażali uznają nad sobą zwierzchnictwo cesarskie? Odparli na to z godnością Polacy, że królowie od wieków wolnymi byli monarchami, i że jeżeli Jagiełło poddał sprawę sporną z Zakonem pod rozstrzygnięcie synodu i cesarza, uczynił to warunkowo i z własnej jedynie woli. Odpowiedź ta nie mile z pewnością zadrasnęła Zygmunta; zwrócił się więc do posłów zakonnych i w te się do nich odezwał słowa: „Przeciwko wam wiele ta zaniesiono zażaleń, że żadnemu poddać się nie chcecie prawu; gdy was chcą zapozwać przed cesarza, odpowiadacie podobno, że stoicie pod zwierzchnictwem papieża i kościoła; gdy chcą was oskarżyć przed papieżem, twierdzicie odwrotnie. Wypowiedzcież teraz otwarcie: czy poddajecie się wyrokom rzymskiego kościoła, soboru i państwa? Krzyżacy nie omieszkali potwierdzającej dać na to odpowiedzi, a Zygmunt nazwał to „przezorną, mądrą, świętą odpowiedzią.“ Voigt, z którego opowiadania powyższe wyjąłem, dodaje jeszcze, że król wyrzekł w końcu do pełnomocników Zakonu: „Zaiste spełniliście dzisiaj czyn, który wam więcej przyniósł korzyści, aniżeli gdybyście wielką wygrali bitwę,“ [2]) Nader trafnie mówi z tego powodu prof. Caro (III 406) „es ist recht begreiflich, dass König Sigismund die heuchlerische Antwort der Ordensgesandten eine kluge, weise und heilige nannte; aber wenn er weiter meinte, dass sie „mehr dem Orden frommen werde, als ein mächtiger Sieg“, so ist dies nur ein weiterer Beitrag für die sanguinische und hohle Art Sigismunds politische Dinge zu betrachten. Denn nach dieser Verhandlung hören wir nicht wieder, dass sich das Concil als solches mit der Streitsache beschäftigt hätte.

11. listopada 1417 r. wyniosło zgromadzenie na tron papieski kardynała Ottona de Colonna, który w swej nowej godności przybrał imię Marcina V. Zwrócili się do niego polscy posłowie nasamprzód z prośbą, aby paszkwil Falkenberga, potępiony już jako „kłamliwy i uczucie każdego obrażający“, uznał za „przeciwny wierze“ i publicznie potępił.[3]) Gdy posłowie nasi mimo tej prośby pomiędzy ustawami synodalnemi, wydanemi polskim inkwizytorom dnia 22. lutego 1418. r. nie znaleźli wymienionego paszkwila Falkenberga, poczęli rozgłaszać publicznie, że w razie, gdyby papież nie miał żądaniu ich uczynić zadość, oni w sprawie tej założą appelacyą do przyszłego soboru.[1]) W odpowiedzi na te wieści ogłosił Marcin V. 10. marca t. r. pismo, zakazujące wszelkich appelacyi przeciwko wyrokom papieskim.[2]) Mimo to, gdy na ostatniej generalnej sesyi papież od zdania swego, że paszkwil nic w sobie przeciwko wierze nie zawiera, że więc potępionym być nie może, odstąpić nie chciał, zanieśli posłowie rzeczywiście protest i apelowali do przyszłego koncylium.[3]) W końcu jednakże przyszło pomiędzy polskimi pełnomocnikami a papieżem do porozumienia; sprawa Falkenberga oddaną została do przejrzenia trzem kardynałom, którzy w kilka lat później pismo jego potępili, jako bezbożne, a papież wyrok ten w osobnej bulli potwierdził.[4])

Niebezpieczeństwo, wciąż jeszcze grożące Litwie ze strony Tatarów, radziło zawsze dotąd Witołdowi tylokrotnie już przedłużany rozejm przeciągnąć jak najdłużej. Teraz do dawnej obawy przed Tatarami dołączyło się nowe niebezpieczeństwo: Świdrygiełło, ów niespokojny brat Jagiełły, umknął z więzienia z Krzemieńca, gdzie go długi czas trzymano.[5]) Dość znaczne stronnictwo Świdrygiełły na Litwie kazało się lękać, że zbieg zawiązawszy stosunki z Zakonem wpadnie zbrojno do Litwy; dlatego też Witołd czyni co może, aby pokój przez jakiś jeszcze czas z Krzyżakami utrzymać i wszystko usunąć, coby tylko wojnę wywołać mogło. Usiłowanie Witołda poparł papież Marcin, który widząc, że sprawa przez Sobór załatwioną nie zostanie, a chcąc przynajmniej wybuch nowej wojny oddalić w jak najodleglejszą przyszłość, z pomocą rzymskiego króla 13. maja 1418. r. przedłużył rozejm na jeszcze jeden rok, w którym to czasie obie strony spór ostatecznie załatwić miały.[6]) Orlów, Muszynowo i Nieszawę miał wielki mistrz wydać w oznaczonym czasie pełnomocnikom króla rzymskiego pod karą stu tysięcy złotych.[7]) Zygmunt miał potem miejsca te oddać polskiemu królowi.

Nie długo po tem sobór zakończył swoje działanie. Polscy posłowie opuścili Konstancyę w dzień po wyjeździe papieża Marcina Vgo, t. j. 17 maja roku pańskiego 1418 i ruszyli w drogę do domu.

Przyjął ich z wdzięcznym sercem król Władysław Jagiełło, który z licznym orszakiem do Pobiedzisk na ich spotkanie wyruszył i publiczne im za gorliwość i poświęcenie złożył podziękowanie. Niestety nie cały naród dzielił uczucia monarchy; jak wszędzie i zawsze, tak i tym razem nikczemna złość i zazdrość podniosły głowę. Niejaki Piotr, proboszcz łęczycki, w nadziei że polscy panowie, wobec niewielkiej na pierwszy rzut oka korzyści, jakie poselstwu polskiemu w Konstancyi odnieść się udało, przyklasną jego niegodnemu wystąpieniu, wniósł na posłów skargę z powodu przewinień, których się dopuścić mieli na soborze.[1]) Nie trudno się domyśleć, że łęczycki proboszcz w skardze swej przedewszystkiem występował przeciwko sympatyi, jaką świeccy posłowie okazali Janowi Hussowi, podpisując wraz z Czechami protest przeciwko jego uwięzieniu, tudzież przeciwko śmiałemu zachowaniu się wszystkich posłów wobec papieża Marcina na ostatniej sesyi. Na szczęście nadzieje Piotra z Łęczycy zawiodły; na zjeździe w Wilnie 3. marca 1419 r. uznali magnaci posłów za wolnych od wszelkiej winy, skargę zaś nazwali słusznie fałszem, wynikiem brudnej nienawiści i zazdrości.[2]) Był to pomyślnie na szczęście zakończony objaw koteryjnego warcholstwa, którego przykłady powtarzają się często w późniejszych dziejach anarchicznej Rzplitej, a i za dni naszych wskazują dowodnie, żeśmy nieodrodni potomkowie naszych przodków, bo nie dodatnie wprawdzie, lecz ujemne strony ich życia naśladujemy wiernie.

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

STUDYUM A. G. BEMA.

(Ciąg dalszy)

U Zaleskiego fantastyczny dramacik miłosny (jeśli tak Rusałki nazwać można), rozgrywa się pośród ojczystej błoni, w podobnem, choć prostszem, niż u Juliusza uwarunkowaniu:

„Był na przodzie bór ponury,
Bliżej rzeka: po nad rzeką
Kwitła łąka wzdłuż, daleko
W prawo — skały, w lewo — góry.
„Nazad ścieżka między zboża;
Widać wioskę mało-wiele,
I trzy wieże na kościele,
I trzy krzyże u rozdroża.

---

[1]) J. Posilge l. c. 369. Posilge za powód skłaniający Jagiełłę do przyjęcia przedłużenia rozejmu podaje, co następuje: Do dy botin des Koniges von Polen vornomen von den fürstin und herrin, der vib do was, das dy mit eies selbis libe dem Ordin ken Prusin woldin ryten zen helfin, da goben sich die Polen zen frede.

[2]) Voigt VII. 310.

[3]) Polscy posłowie działali tu za wyraźną wskazówką z góry, czytamy bowiem u Hardta 154: qui (legati), teste Schelstrateno, a Wladislao rege suo litteras acceperant ad prosequendam censuram errorum...

[1]) Hardt. ibid: legati quum vidissent in litteris synodicis ad inquisitores Polonia contra haereses die 22. febr. datis nullam mentionem factam fuisse errorum famosi libelli Joh. a Falkenberg, multis indicarunt, apellationem ad futurum conc. interjecturos

[2]) Hardt IV. 1532.

[3]) ibid IV. 1549. O tej ostatniej sesyi, wielkim nacechowanej wzburzeniem podaje nader ciekawe szczegóły Hardt IV. 1549 1560.

[4]) Bulla papieska, jak Voigt VII. 353 uw. podaje datowana Romae apud san. Petrum quarto Idus Januar papatus nostri anno septimo (10. stycz. 1424 r.) Falkenberg pozostał w więzieniu, dopóki nie odwołał uroczyście tego co napisał. (Początek dokumentu, w którym Falkenberg odwołuje swoje błędne mniemanie, brzmi podług Voigta l. c.: Ego Johannes Falkenberg ordinis fratrum praedicatorum sacrae Theologiae magister indignus, qui dudum ad quoundam emulorum instantiam quendam libellum seu tractatulum famosum in injuviam, contumeliam, dedecus, sugillacionem fidei, honoris et famae atque grave periculum illustris et catholici principis domini Wlad. regi Pol. et universitatis Polonorum calum pnist composui et manu mea scripsi. In quo libello inter ceteras calumpniosas injurias, contumelias et insarias falsas scripsi et scriptis meis asserus etc.
O dalszych losach Falkenberga zobacz Gołęb. l. c. I 258 uw. 425. Długosz całej tej sprawie bardzo niedokładne podaje wiadomości.

[5]) Posilge 374. Zerischin wynachtin und vastuch quam herczog Swytirgail, des Künigen Bruder von Polen, von dem vor euch ist geschriben von deme gevenkuine doryne yn syn Bruder und herczog Wythand lange Zeit und swerlichin mit grossen hute hattin gehaldin.

[6]) Posilge 375.

[7]) Voigt VII. 319. 2 uw. Bulla papieska: Constantiae III. Jalus Mai p. n. a. I. (13 maja 1418

[1]) Goł. l. c, I. 566. (uw. 801). Ad universam noticiam per haec scripta deducimus, quod dum ex quibusdam literis nobis, praefato regi et illustri fratri nostro Alexandro duci magnae Lituaniae per Petrum... mowski, praepositum lancicienum directis; de quibus ambasiatores nostri ad sacrum concilium constancium a nobis in nostris et regni pracarduis negocius misti quotammodo *certis criminibus* notari vidębantur.

[2]) Goł. l. c. 567. Nos itaque attendentes praefatas literas, quas tum debito scrutinis examinavimus ex livore odis et invidiae procession, propendentes esse frivolas, malevolas, iniquas, injuriosas, falsas, omni suspicione plenas et nulla pollentes veritate... datum in Jedlna feria sexta proxima post diem linerum A. D. 1419.

„A na niebie żadnej chmurki,
Słońce sieje blask wspaniale,
Po dnieprowych wód krysztale,
Między skały i pagórki.“

Dwie ludzkie postacie, w grę poetyczną wchodzące, jakkolwiek odpowiednimi przymiotnikami określone, nie odbijają plastycznie od tła właściwego. Cisław jest „śmiały,“ „prosty,“ „tkliwy,“ a Zoryna czarownica — „jak rusałka żywa, pusta.“ Nad dziecinną miłością ukazuje się na niebie niedojrzana, mała chmurka... Następuje oczekiwanie burzy, a wkrótce po tem daje się słyszeć coś podobnego do gromu... Ale jeden powiew Zefiru, jeden błysk słońca wszystko rozprasza i rzuca Zorynę w objęcia Cisława:

„Łza błysnęła, ścigam okiem,
Lecz lecące liście, kwiaty,
I motylów rój skrzydlaty
Zasłoniły ją obłokiem.
„Nikła, znikła. Klasłem w dłonie
I upadłem jak bez życia...
Aż uczułem serca bicia
Mej Zoryny przy mem łonie.“

Chwila uścisku jest u Juliusza środkowym węzłem poematu, u Zaleskiego — koroną. Odmienny jest nakoniec nastrój obu utworów: gorącą idyllę „w Szwajcaryi“ cechuje tragiczność, fantazyę Zaleskiego — lekka, słowicza, dziecięca niemal tęsknota*). Oba jednakże utwory to mają między sobą spólnego, że krom podobnej w najogólniejszym konturze treści, krom natchnionego tu i tam smutnem uczuciem epilogu, są utworami nawskróś idealnemi. A idealizm ten opiera się nie na pielgrzymce po błędnych szlakach czczej myśli, lecz podobnie jak cała artystyczna twórczość starych Helenów na doznanych życiowych wrażeniach. Jak Juliusz tak i Bohdan są idealizatorami rzeczywistości, u obu znaleść można to, co Niemcy nazywają „Dichtung und Wahrheit;“ tylko że u pierwszego większa między prawdą a jej przystrojem równowaga. Tamten jest przedewszystkiem poetą, ten — muzykiem i malarzem słowa.

„Rusałki,“ to jeden z najobszerniejszych, a między najobszerniejszymi — najlepszy, najoryginalniejszy poemat Bohdana. Nic zatem dziwnego, że licznych znalazł naśladowców. Jeśli bowiem przypadkowo tylko przypominają tę fantazyę pojedyncze zwrotki u poetów, nawet tak jak Pol i Wasilewski par excellence oryginalnych, całość utworu była niejednokrotnie, zarówno przez powołanych jak i niepowołanych, w różny sposób przerabianą. Tamci, zapatrzywszy się na rzecz oryginalną, nowe w królestwie ducha zasiewali kwiaty, ci naśladując a przykrawując układali tylko bladych strof szeregi**).

*) Ironii, której się w Rusałkach dopatruje p. Tyszyński, nie mogłem odczuć. Wszędzie tu od początku do końca — nie udana, jak sądzę, panuje naiwność.

**) Do pierwszych zaliczamy pięć razy krótsze od Rusałek, mniej może idealne, mniej senne, lecz więcej stosunkowo życiem dyszące „Wspomnienie do L. H.“ Teofila Lenartowicza. Oto początek tego wierszyka:

„Tam w ojczyźnie znałem jedną,
Wiesz, Leonie, jedną z tych,
Co rumienią się i bledną,
W jednej chwili płacz i śmiech.
„Jakie oczko, jaka buzia!
Nie rusałka, wcale nie,
Ona sobie była Józia,
A matka ich miała dwie.“

Jest to naśladowanie, ale jakie naśladowanie! Pieśni rusałkowe Bohdana przeszły przez czysty pryzmat talentu autora „Apostołów,“ a ożywiwszy się osobistym z przeszłości wspomnieniem, dały byt prześlicznej niezabudce.

Przykładu naśladowania drugiego gatunku dostarcza mi dziś przypadkowo pewien poroniony utwór, zamknięty w zbiorowej, mało znanej książeczce pt. „Pyłki Adama Maleszkiewicza (Kijów 1860).“ Wcześnie zwiędły, zamrożony apatyą talent nad Dnieprem podobno urodzonego wierszopisa, kształcił się, jak widać, na Mickiewiczu, a głównie na Zaleskim... Ztąd wynika usilne naśladowanie pierwszego w sonetach, drugiego — w idyllach. Najobszerniejszy z „pyłków“ utwór pn. „Podarki“ (nie próżny do połowy technicznych zalet) może być, pod względem formy i pomysłu, uważany za niezręczną „Rusałek“ przeróbkę.

Oprócz tej grupy melodyjno-obrazkowych cacek-wiośnianek, szumek i dopiero co przejrzanej *fantazyi* — zaliczamy jeszcze do utworów pierwszej kategoryi świetne śpiewy historyczne Bohdana, w których ubóstwiane przezeń Naddnieprze opromienia się pogodną glorыą zwycięztw hetmańskich XVIgo i pierwszej połowy XVIIgo stulecia. Takim utworem jest: „Duma hetmana Kosińskiego,“ „Lach serdeczny na marach;“ nadewszystko zaś: „Czajki“ i „Wojna Chocimska,“ gdzie nad dziejowem imieniem Konaszewicza (trzynastego po Daszkiewiczu hetmana sahajdacznego obojej Ukrainy i Kosza Zaporoskiego) nie zwiędły laur czarodziejska poety zawiesiła ręka.

„Czajki“ — powszechnie znana pieśń ośmiozwrotkowa — są oryginalnym i pod pewnym względem pierwszorzędnym w literaturze naszej utworem. Drużyna kozacka powraca czajkami na Sicz z zamorskiej wyprawy. Po za nią, śród pogody i ciszy nocnej, płonące grody natolskie i szeroka na niebie łuna pożarów. Przed nią, w siwej dali — ojczyste „ostrowy.“ Na czele braci płynie zadumany w osobnej czajce dzielny Konaszewicz. Łodzie napełnione turecką zbroją i monetą. Na łodziach — dziarskie, poruszające wiosłami postacie mołojców. W powietrzu równemi falami brzmi wesoła pieśń powrotu, a w pieśni tej, która imponujący obraz malownie streszcza, dziwna choć na pół-dzika panuje harmonia, harmonia prostych słów i myśli:

„Ura ho! ura ho! ura!
Limany, nasze limany!
W ogniach goreją kurhany,
I Czartomelik i Dura!
Okrzyk bracia! a wesoło,
Aż rozgłośnie naokoło —
Od Chortycy do Tawani —
Zagrzmią progi i ostrowy!
Niech nam żyje, niech hetmani,
Konaszewicz, nasz koszowy!“

Każda zwrotka z 10ciu składa się wierszy i na dwie nierówne, pod względem rytmu, dzieli połowy. Pierwsze cztery wiersze, nacechowane zwykle spokojniejszym ducha nastrojem i przewagą obrazowego pierwiastku, są trójstopowe (dwa amfibrachy lub daktyle i jeden trochej); podczas gdy sześć następnych, czterostopowych miar trochaicznych wyraża stosunkowo żywszy ruch myśli i gorętsze wezbranie wieńczących się jednostajnym okrzykiem uczuć — uczuć, których żywiołem jest junacka swoboda, a bożyszczem chwili — hetman Konaszewicz.

Piękny ten poemacik miał swoich naśladowców, do których i Juliusza nie bez pewnego zaliczają powodu. W fantastyczno-dziejowej, bajronistycznej powieści „Żmija,“ obfitującej podobnie jak i Konrad Walenrod Mickiewicza w epizody, Słowacki próbował najrozliczniejszych rytmów i pomieścił, między innemi, dość żywo przypominającą „Czajki“ — „pieśń odpływających“ do Natolii zaporożców (Pieśń III). Treść w ogólnym konturze spólna; tylko że nastrój śpiewu tu — posępny, tam — wesoły. Miara u Juliusza podobna, lecz nie ta sama: o wiele rozmaitsza, bogatsza. Bezstronność wszakże nakazuje wyznać, że u Zaleskiego więcej jest prawdy i prostotą nacechowanej werwy, co nadewszystko okazuje się w dwu odpowiednich tu i tam, najpokrewniejszych i myślą i formą zwrotkach*). Pochodzi to, naszem zdaniem, ztąd, że gdy obaj poeci czerpali prawdopodobnie materyał do utworów z ludowej pieśni, ukraiński torbanista, jako bliższy i naturą i duchem tej spólnej wszystkich artystów skarbnicy, zdołał szczęśliwiej i prościej zaciągniętą pożyczkę sobie przyswoić..., a myśl ta, jakkolwiek hipotetyczna, wstrzymuje nas, obok względów ogólniejszych, od stanowczego zarzucania autorowi „Żmii“ krzywdzącego pierwszorzędną jego muzę naśladownictwa z drugiej ręki.

„Wojnę Chocimską“ nazywa w „Rozbiorach i krytykach“ p. Tyszyński „najcharakterystyczniejszym, jaki zna, śpiewem historycznym.“ Jest tam istotnie cień prawdy dziejowej, i dużo niewyszukanego wdzięku w formie. Trudno do patrzeć się wprawdzie tej barwistości języka, tego ruchu wrzących uczuć i bogactwa melodyi, co w Czajkach; ale natomiast, przy jednostajnym rytmie i niskich tonach, głębszy jest nierównie grunt myśli. Ów Konaszewicz występuje już nie jako postać zadumana i bierna, lecz jako działający dowódca-bohater. Ruch uczuciowy „Czajek“ zastąpiony w „Wojnie“ rzadkim niezmiernie w dumach Zaleskiego ruchem dramatycznym. Wojsko Rzeczypospolitej nadciągnęło pod Chocim z królewiczem Władysławem na czele...; a gdy się długo zwycięztwo to na naszę, to na stronę Turków ważyło, ręka w rękę idący z resztą zbrojnych pułków Sahajdaczny uderza, łamie i przepędza nieprzyjaciela za Bałkany. Charakterystyczna przemowa głównego dowódzcy do kozackiego Hetmana, zamykająca w sobie rozkaz wyruszenia na wroga, a następnie wprowadzenie w czyn rozkazu i pieśń „sokoła“ o sprawionej Turkom rzezi, słowem wszystko, co stanowi drugą połowę tego dwunasto-zwrotkowego poematu, jest, że tak rzekę, łagodnem przeradzaniem się opisu w dramat. Pełnego obrazu wy-

*) Przytoczmy po kilka wierszy dla porównania:

(*Zaleski.*)

„Pięknyż to wieziem podarek
Dla braci naszej na Niżu:
Działa błyszczące ze śpiżu,
Krocie złocistych janczarek.“

. . . .

„Ura ho! ojcze Hetmanie!
Oto na Siczy *drużyna*,
Z podarkiem chleba i *wina*
Szerzy okólne wołanie.“

(*Słowacki.*)

„Dla Turków (czajka) niesie podarek:
Dwa działa ze śpiżu i sto janczarek.“

. . . .

„Tym, co zginą, włożym w usta
Piastr wybity w Carogrodzie!
Pacierze za nich, a potem *wina*,
Wina w weneckim krysztale
Za pamięć druhów pije *drużyna*.“

prawy, jaki nam przedstawia epopeja Wacława Potockiego, nie znajdziemy naturalnie w spiewie historycznym Bohdana. Postanowił on tu tylko, „stare bratnie“ mimochodem „jednając waśni,“ przeszłość westchnieniem poetycznem wskrzesić, zagrać na Bojanowym torbanie o ważnym w wojnie Chocimskiej Konaszewicza i jego drużyny udziale. Utwór ten nie jest tak pięknym zewnętrznie i oryginalnym, jak „Czajki“; tem je dnak między innemi zwraca na siebie uwagę, że autor stanął w nim na stanowisku ściślej przedmiotowem. Nie przesadzimy zapewne bardzo, gdy powiemy, że „Wojna Chocimska“ — to niepróżna zarodków dramatycznych epopeja w skróceniu, przypominająca z daleka stare arcydzieło, spółplemienną „pieśń o pułku Igora.“

Poematem, a raczej epizodem w poemacie, który będąc koroną dziejowej Bohdana muzy, łączy i poteguje w sobie dodatnie cechy „Czajek“ i „Wojny Chocimskiej.“ jest XI pieśń „Ducha od stepu.“ Możnaby położyć nad nią nagłówek „Atylla.“ Jeśli wypowiedziane kiedyś przez Mickiewicza w kolegium francuskiem zdanie *), że Zaleski w fantazyi „Duch od stepu“ „staje się poetą Słowian“ — opiera się choć w części na gruncie prawdy, to słowiańskim znakomitym poetą jest on nadewszystko tam, gdzie wodza Hunnów i Słowian pod natchnieniem tradycyi stepowej ze starych kronik odtwarza **). Hordy dziczy przemożnej liczbą, kierowanej magnetyczną siłą wodza, ciągną od Kaukazu przez Panonią na zagładę starej Romy, zostawiając po sobie ślady stumilowych przekopów i olbrzymich mogił. Przesiedlanie się ludów — to chwila istotnie wielka, godna pióra pierwszorzędnego wieszcza! Treść tej karty w powszechnej kronice społeczeństw podobna do geologicznych przewrotów, lub do egipskich piramid i labiryntów w dziejach architektury. Nigdzie też Zaleski nie okazał się równie jak tu genialnym. Obok zwykłej świeżości i harmonii języka, uderza w tym epizodzie ściśle przedmiotowe prawdopodobieństwo, nieprzerywana „lirycznemi wybrykami“ ciągłość opowiadania, i większy daleko niż w „Wojnie Chocimskiej“ zasób akcyi dramatycznej. Jako jedyny może u Bohdana dowód siły plastycznego przedstawiania rzeczywistości, przytaczamy zwrotkę, wskrzeszającą żywo przed naszemi oczyma barbarzyńską a kolosalną postać naczelnika Hunnów:

„W stal zakuty wódz na przedzie,
Przez bezdroża jedzie — wiedzie, —
Konny posąg Al-hun-ryka***),
Niedźwiedziemi strzępi kudły·
Suchożyły, w kość zachudły;
Boży-gniew, twarz groźna, dzika;
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło...
Jako rzeka w skałach stroma,
Pluszcze za nim gwar w około:
„Roma! Roma! gdzie ta Roma?“,

(C. d. n)

---

*) Patrz: „Prelekcye“ — L. XIV.

**) Podobnie zapatruje się na ten ustęp i p. Spasowicz („Ist. sł. lit.“ 466 str.) Autor ten jednak w poglądzie na plemienny charakter płodów Zaleskiego posuwa się, jak sądzę, za daleko; bo z miłującego swe rodzinne strony i słowiańską przeszłość narodowca (za jakiego uważamy Bohdana) robi skończonego w dzisiejszem rozumieniu panslawistę.

***) „Wodza wszech Hunnów.“

Z PAMIĘTNIKÓW

Karola Brzozowskiego.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Ciąg dalszy.)

Zapuszczałem się co raz głębiej w step, nie oddalając się zbytecznie od Eufratu; miałem nadzieję z suchych traw wypłoszyć jakiego zająca, lub frankolina, gdy nagle usłyszałem głos wzywający mnie, abym się zatrzymał; obejrzałem się, — był to beduin uzbrojony zwyczajem wszystkich jezdców w długą lancę. Zatrzymałem się, przeświadczony, że idąc dalej, mając do czynienia z człowiekiem na koniu, nic nie zyskiwałem, gdyby rzeczywiście groziło mi jakie niebezpieczeństwo; siadłem więc, i zabrałem się do robienia cygaretka, Arab tymczasem zbliżył się do mnie stępą. Pięknym był jeździec i piękna klacz siwa na której siedział; strzygła maleńkiem uchem, szeroko rozwartem nozdrzem parskając, zdawała się badać mnie wielkiemi oczami; biały burnus beduina pokrywał ją prawie całą, zostawiając wolną tylko pierś i suchą nogę, ujętą w sieć żył, w których przez skórę zdaje się widać było grającą szlachetną krew. Salem alejkum! alejkum salem; odrzekłem na dźwięcznym głosem wypowiedziane powitanie beduina, którego wszyscy tu przy spotkaniu się używają, bez względu na religię. Turek w Rumelii, ani Anatolii nie powita nigdy tak giaura; a jeśli mu czasem przez pomyłkę da pozdrowienie tylko prawowiernym się należące, nie zdoła pokryć wstrętu i nie zaniecha nigdy pogardliwem splunięciem sprostować swojej pomyłki; Arab wita w człowieku równego sobie człowieka, dla Turka giaur ledwo jest człowiekiem, giaurom dzień dobry się daje i dzień dobry od nich odbiera. Nie ma żadnej wątpliwości, że Mohammed wziął Salem alejkum, t. j. pokój z tobą, od chrześcian, Turek znalazł je w Islamie, i uważa je za znak, prawowiernym tylko służący. Pokój giaurowi — to bluźnierstwo przeciw Ałłachowi i jego prorokowi. Ileż to drobnych na pozór rzeczy głęboko zakorzenionych w życie składa się na przepaść rozdzielającą Turka od chrześcianina — przepaść, na wykopanie której składały się wieki — a którą marzą zasypać reformą pod naciskiem wstrętnych, pogardę wzbudzających żywiołów za granicy — reformą, której wyrazem zaparcie się godności Islamu. Islam i chrześciaństwo, pod jednym dachem miłujące się, marzenie..., które bierzemy za rzeczywistość, i na razie nie umiejąc lub nie chcąc inaczej sobie poradzić, wynosimy do znaczenia nieomylnej społecznej formułki. Przyjdzie czas, a może jest bliższy aniżeli się śni o tem Zachodowi, że lekarstwo wedle tej nieomylnej formułki Orientowi podane, rozprzęże organizm jego zupełnie, skutki tego rozprzężenia będą straszne. Najpierwszem następstwem będzie rozbudzenie mahometańskiego fanatyzmu, niezdolnego wprawdzie zwalczyć chrześciaństwa, ani nawet zmierzyć się z jego potęgą, ale dosyć silnego aby wybuchnąć płomieniem, i giaurów rozsypanych na szerokich obszarach państwa zagrzebać w popiołach pożogi, co tem łatwiejsza, że nikomu nie przyjdzie na myśl bronić się, aby przynajmniej drogo sprzedać swe życie. Będzie to rzeź kur — nie ludzi! Nikt bardziej proroczo, jak Montesquieu, nie wyraził się o przyszłości reformy w Turcyi; nie mam dzieła jego o przyczynach wzrostu i upadku państwa rzymskiego pod ręką, przypominam sobie jednak z pewnością, że tam przed laty tę myśl wyczytałem: Są państwa, które pomimo anarchii istnieją — widać, że w ich ustroju są pewne warunki bytu, które wymykają się z pod naszego ocenienia; jeżeli więc podtrzymywane niemi, kilka set lat przeżyły, wypływa ztąd przypuszczenie, że i dalej żyć mogą — i sądzimy, że reformę zaprowadzać w podobnych państwach, znaczy wydzierać nieznane nam warunki żywotne ich bytu, znaczy je zabijać. Turcya jest takiem państwem — reforma będzie jej śmiercią.

— Jesteś ze statku, po przywitaniu rzekł do mnie beduin — i polujesz dla zabawy, tu próżno czas tracisz, co tu było, młodzież wczoraj z chartami wypłoszyła, pójdź ze mną, ja ci pokażę miejsce gdzie zawsze są frankoliny.— Dziękuję ci. — nie chcę się bardzo oddalać od rzeki i od statku. — Nie bój się, czasu masz dosyć— słyszałem, że wy każdego ptaka zabijacie w locie — nie wierzyłem temu nigdy — i nie uwierzę, dopóki nie zobaczę — pokaż mi tę sztukę — kto wie, może nigdy mi się nie zdarzy sposobność widzenia takiego marafetu; zrób mi tę łaskę — pokaż, napijemy się potem kawy, dam ci konia i sam cię odprowadzę do statku twojego. — „Kiedy tak, to idźmy!“ w kilka minut znaleźliśmy się na krótkiej, dość szerokiej dolinie, którą w części zalewał Eufrat; tu i ówdzie pomiędzy kępami tamaryszków były małe półka kukurudzy, melonów, lub sprzątniętego zboża; na lekkiem wyniesieniu cztery obszerne czarne beduińskie namioty w około których stało kilka do palików przywiązanych koni i liczna roiła się dziatwa, na wpół naga, pospołu z kurami. Na zawołanie Araba przybiegł mały chłopczyk i wielkiemi czarnemi oczami pożerał mnie, strzelbę, torbę i całe ubranie moje. — Odprowadź klacz i powiedz matce, że mamy gościa. — Zaledwie opuścił beduin strzemiona, a już chłopczyna, uchwyciwszy się grzywy wdrapał się jak kot na wysoką kulbakę i dumnie wyprostował się na niej wyciągając rękę po lancę — Ho! ho! nie dosyć że masz konia, i po mizrak sięgasz, — rzekł uśmiechnięty Arab — na tobie i mizrak, tylko mi po stepie nie galopuj, ale prosto ruszaj do namiotu. U! hu! hu! zakrzyczał wesoło chłopak, wstrząsając nad głową w pół ujęty długi dziryt ojca — i z wysuniętą piersią naprzód, ścisnąwszy drobnemi, lecz silnemi już piętami konia, jak wiatr pocwałował ku namiotom. To orlę — to syn twój? maszałłah, niech Ałłach hoduje mu pióra w skrzydłach na długą chwałę i pociechę ojca. Amin, — odrzekł mi beduin z dumą poglądając za cwałującym niedorostkiem swoim; — patrzyłem i ja za tym szczęśliwym wychowańcem pustyni, synem wolności,.. i zazdrościłem dziecku, ja, jej smutny pogrobowiec!

Przy wodzie, posiewach i tamaryszkowych zaroślach nie trudno nam było wynaleść frankolina, lubiącego podobne miejscowości, a mniej jeszcze było mi trudno strącić go z powietrza, zaledwie skrzydłami zaklasnął nad kukurydzą. Aferim! — krzyknął zdumiony beduin, obie ręce szeroko rozkrzyżowawszy nad głową — niech Ałłach pielęgnuje pewną strzałę twojego oka, i rękę, co jej tak posłuszna! dziękuję ci, mogę powiedzieć aszyzetowi: widziałem! Wkrótce potym wstępie, przy przeskakiwaniu rowu wysadziłem z trawy trzech naraz kogutów, strzelbę miałem na plecach, szybko zerwałem ją, złożyłem się — dwa strzały na lewo i na prawo, i

spadły dwa latacze, śmiertelnie trzepocąc się na ziemi. W mgnieniu oka beduin zebrał je, poderznął, rzucił mi je pod nogi, i zawołał: „Pozwól niech połę szaty twojej ucałuję mistrzu! boś ty wielki mistrz! Szkoda żeś ty nie beduin! Widziałem, jak ci rosło serce, na widok mojego czwałującego chłopięcia, wzrok twój go błogosławił... ja to czułem... i wdzięczny ci byłem, gdyś prosił Ałłaha, by hodował pióra orlęcia. Kto kocha orły, konie, młodość, ten musi miłować wolność i szerokość, ten ma duszę beduina!... Uścisnąłem serdecznie ubronzowaną słońcem szorstką rękę Araba, i gdy znalazłem się pod jego namiotem, byłem już jakby u starego, dobrego znajomego. Nie pamiętam, czym kiedy w życiu smaczniejszą pił kawę, którą bez wątpienia najlepszą piją beduini; bo też znają się na niej doskonale i umieją ją przyrządzać. Nigdy nie robią zapasu palonej kawy; palą jej tylko tyle, ile po trzeba do jednorazowego użycia; gdy się zbrunatni na blasze i pocznie oblewać się właściwą sobie aromatyczną tłustością, przerzucają ją w mały marmurowy moździerz i tłuką ją okrytą umyślną do tego serwetką — z moździerza prze chodzi do dzierzwy (imbryczek z cienkiej blachy) czekającej na nią z wrzącą już wodą. Do dzierżwy w trzech trzecich napełnionej warem, wsypuje się kawa, która trzyma się nad powierzchnią wody; dzierzwę opatrzoną długą rączką wsuwa się w żar, woda wrzeć poczyna, ogarnia i topi na chwilę kawę, ale ta wnet wznosi się kipiąca w górę; wtedy szybko zdejmuje się z żaru dzierżwę i lekkiem kilkakrotnem stuknięciem o ziemię strąca się po brzegi wznoszący się gęstą pianą odwar; po trzeciem zawrzeniu kawa gotowa; dzierzwę narzuca się serwetą, i w małe czaszki nalewa się wonny nektar Jemenu, nad którym pływa piana, co w tysiącznych komóreczkach swoich więzi orzeźwiający, a tak szybko ulatniający się aromat.

Obszerny i czysty był namiot, w który mnie beduin wprowadził, na dwóch sochach spoczywała poziomo długa tyka, dźwigająca na sobie dach z grubej tkaniny z koziego włosia, do ziemi prawie samej spadający; ściany wewnętrzne były z misternie plecionych mat z trzciny, która obficie rośnie na bagnach niższego Eufratu; doskonale ubitą glinę podłogi pokrywały rogoże, a na nich rozścielone wielkie grube koce z wielbłądziej sierści; przy ścianie, przeciwległej wnijściu, rozpostarty domowej roboty wełniany dywan o żywych barwach, ale z prawdziwym zbliżonych smakiem, stanowił najważniejszą część namiotu, przeznaczoną na miejsce spoczynku i kiefu. Nie brakło tu kilku większych i mniejszych poduszek, o ścianę opartych, czekających na plecy lub głowę; gościnny beduin usadowił mnie tu z pewnym rodzajem sybarytyzmu, którego miły wpływ na ciało choćby najbardziej zahartowane oceni każdy, ktokolwiek odbędzie parogodzinną przechadzkę w upale El-Dżeziry (Mezopotamii). Długich potrzebowałem zachodów, aby uprosić gospodarza, aby opuścił gazelą skórę, rozesłaną na uboczy i usiadł ze mną razem; syn jego tymczasem, którego już znamy, postawił przed nami dwie na drewnianych małych stołeczkach nargile, prawdziwie beduińskie, w których wypróżniony kokosowy orzech zastępuje szklanną banię, a prosta trzcina, długi wijący się jej narbicz (cybuch). Myśliwska torba moja, pomimo nie wielkiej swojej objętości, była zawsze z potrzeby w tych okolicach prawdziwą polską apteczką; w licznych swoich kieszonkach, niektórych na klucz zamykanych, było zawsze trochę cukru, herbaty, kawy, tytuniu, pigułek na febrę, lekarstw na dysenteryę, nadzwyczaj tu powszechną, i spory zapas siarczanu cynku przeciwko zapaleniom oczu, nie uniknionym z powodu upałów i drobnej ciągłej kurzawy wdzierającej w najlepiej opatrzone zawiniątka podróżne; a cóż dopiero pod otwarte powieki człowieka; przypomniałem sobie, że miałem w mej apteczce zwitek liści tumbeku w najlepszym gatunku, który dał mi był przyboczny lekarz Szacha perskiego, doktor pułkownik Zolozan, w czasie jego pielgrzymki do Kerbelah i innych miejsc świętych dla Szyitów. (Dok. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Wrócimy tedy raz jeszcze do katedry w Pizie i staniemy w chórze. U jego wejścia olbrzymia, niezachwiana brama złota. Złoto na jego ścianach płonie, a ze złota wystąpił Chrystus mozajkowy i olbrzymi co lud i kościół błogosławi prawicą, lewicą o księgę sparty. Włos w lokach spada z greckiego czoła. Wszystkie jego rysy jakby u greckiego Boga, broda tylko i włos uczesane inaczej — tak jak je widzisz w cerkwi na obrazie. Szaty wielkie sztywną a bogatą draperyą przyodziały ciało. Oczy w migdał zacięte, a twarz potężnie spokojna. Cieniów tu nie masz, barw układ architektoniczny, kształty, oznaczone wielkiemi liniami, przypominają starego Jowisza. Siadł Chrystus na tle złotem, bez muszkułów, bez żył na twarzy, bez pozorów życia, jako ogromne widzenie, jako sen, albo symbol bardzo zrozumiały. Oko nieruchome a dłoń olbrzymia błogosławi dając wiernym pokój wieczny i niebiańską miłość. Takiego to Chrystusa stworzył na początku czternastego wieku stary mistrz malarstwa *Cimabue.*

Obok Piazzy pizańskiej *Campo Santo* czyli cmętarz. Mur niezdobny opasuje go na zewnątrz, na wewnątrz bieży dokoła klasztor o mnogich łuczkach gotyckich, wspartych o kręcone cieniutkie słupki, w których się kamieniarze zręcznością popisywali. Jestto sztuczka architektoniczna, pochodząca z czternastego wieku, ciekawa tem, że na wewnątrz na murze wykonano najdawniejsze arcydzieła toskańskiego malarstwa. Współcześni przynajmniej sądzili, że to arcydzieła.

Pamiętamy prześliczną dzwonnicę Giotta. Tu ujrzymy jego freski czyli malowidła ścienne. Figury na nich, niby z drzewa źle powyrzynane ruszają się jakby maryonetki, ułożone jak na bohomazie, mają rysy lalek i wyrazy jak u karykatur.

Ów Giotto, uczeń Cimabuego, był to wielki nowator. Przed nim malowano na tle złocistem nieruchome figury świętych lub aniołów; śmiano nawet przedstawiać osoby Trójcy przenajświętszej zasiadające na tronie wśród widu złotego. Obrazy owe zwą pospolicie bizantyńskimi, a to dla tego, że bizantyńsko-greccy artyści zwykle je wykonywali. Każdą postać tworzono wedle przyjętej tradycyi. Do ołtarzy wykonywano *altempera* obrazy w rozmiarach ludzkich z czarnemi twarzami i złotemi szatami. Mozaiki tworzono w olbrzymich rozmiarach na sufitach złotych bizantyńskich albo romańskich — omal, że nie rzekłem — cerkwi. Na czarnej twarzy, lub w wielkiej oddali nie szukało oko życia; widziało tylko nieruchome a piękne, bo wedle greckiego niegdyś ideału stworzone rysy, oko wprost na widza patrzące, postać w majestat przyodzianą, i szaty złote, albo szaty jaskrawe, odbijające o tło złote. Postacie owe tylko przypominają ludzi; one niby ciała nie mają zjawione w nieruchomym majestacie; choć o ciałach wątłych, nieznikome; przebywają w wiecznym pokoju słuchając pieśni liturgii; jak olbrzymie cienie mieszkają wśród światła. Człowiek drżał przed niemi, i myślał, że istotny duch boży zamieszkał po za ich nieruchomemi twarzami.

Artysta, który je tworzył, trzymając się danej tradycyi bywał może rzemieślnikiem tylko; one wszystkie jedno i to samo mówią, ale lud i dziś modli się do nich najchętniej, bo one niepojęte, cudowne. A nawet człowiek wykształcony chyli czoło mimowoli, gdy patrzy na ich pokój wiekuisty.

Sztuka ta jednak martwą była jak świat starożytny, z którego wyszła. Umiała tylko budzić uczucie zabobonnego podziwu. Straszyła ludzi widmami. Wywoływała jedno, potężne wprawdzie, ale martwe i jednostajne wrażenie. Znalazł się tedy u końca średnich wieków Florentczyk *Cimabue*, który spróbował, czy się nie da życiem zastąpić śmierć modlitewną. W wielkich mozaikach, jakoto na suficie katedry pizańskiej, trzymał się dawnej tradycyi, i dawne potężne budził wrażenie. W mniejszych obrazach, a zwłaszcza w obrazach matki Boskiej, odstąpił na krok od tradycyi. Zamarzył nieborak o ideale niedościgalonym. Pomyślał, że Marya niegdyś na ziemi była, że jaśniała i wdziękiem i świętością, że pieściła dziecko na łonie, dziecko co i Bogiem było i człowiekiem; że ogień święty jaśniał w źrenicy przenajświętszej, że młodość płonęła na jej licu. I odwrócił się Cimabue, co to pomyśleć śmiał, od trupów i cieniów w złoto przyodzianych. Zechciał utworzyć madonę, matkę dziewicę, ubogą królowę; zechciał przemówić z obrazu jak z żywej ewanielii — stworzył ohydny dla nas bohomaz.

Obrócił twarz profilem; w nowy sposób ułożył ręce. Głowę matki do pieszczoty pochylił — a nie wiedział jak teraz ramiona i ręce, jak oczy i usta wyglądać mają. Mnich kronikarz pewno łamał ręce, patrząc na to, jak zbrzydła Madona, jak się z cienia karykaturą stała, a lud w zachwycie krzyknął, że Marya ożyła, że się z Chrystusem pieści, że kocha i czuje jak matka każda — ona — matka najświętsza! I lud porwał obraz i zaniósł w tryumfie do kościoła.

I mnich miał słuszność, i lud miał słuszność. Madonna Cimabuego wydaje nam się nieudolnym bohomazem; madona bizantyńska martwa — ale jako dzieło sztuki odrębnej — doskonała. A jednak Cimabue zwrócił oczy malarzy na naturę, oderwał ich od rutyny, oduczył ich od tego, że samych siebie wciąż kopiowali, a kazał im kopiować Boga i szukać wyrazu uczuć prawdziwych i szlachetnych, i tak zawiódł ich na drogę, którą mieli zajść do *Leonarda da Vinci* i *Michała Anioła.*

Giotto poszedł dalej na raz wskazanej drodze, wprowadził do obrazów ruch i działanie i przy końcu zawodu zarzucił całkiem czarną karnacyą. To też on i jego uczniowie stali się poetami: chcieli wielką myśl i wielki czyn na jednym przedstawić obrazie, chcieli kazania obrazami prawić. By się o tem przekonać, spojrzymy

na tryumf śmierci *Orcagni*, wymalowany na ścianie tego tu cmętarza.

Widać górzystą okolicę a na szczytach lasy. Dzikie skały piętrzą się w dziwne kształty. U dołu jednak rozlegają się żyzne doliny. W nich pełno życia i wesela. Tu damy siedza pod altaną na sofie. Dwie młode i piękne. Jedna głaszcze bonońskiego pieska, faworyta, siedzącego na jej kolanach; druga haftuje jakieś kobierce; stara babunia zatopiona w czytaniu jakiejś nabożnej niby księgi. Kawaler szepce pannie słodkie słowa miłości, oparłszy rękę o szpadę. A blade, skostniałe widmo śmierci pędzi przez powietrze mierząc kosą swoją w głowę zakochanych. Wnet ich wymaże z pomiędzy żyjących.

Na drugiej stronie obrazu jedzie kawalkada. Króla w niej widać i królowę. Sokoły na pięść siadły, a charty wiedzione na smyczy. W orszaku królewskim sama młodzież płci obu, rumieni się, śmieje i weseli. Ale koń królewski spłoszony. Stanął, strzyże uszyma i nadyma nozdrza. Przed jego nogami widać trumny, a z trumien wyglądają trupy pustelników w różnych stadyach rozkładu. Z trupa jednego gad wygląda. Brzuch trupowi pękł, a wąż w wielkie S zwinięty występuje z brzucha i żądłem zagraża królowi.

U góry, na skałach, ludzie na pozór tylko żywi, ludzie na poły umarli, i ludzie rażeni już groźnym ciosem starości lub niepokonanej choroby, okazują nam wszelką obydę trupieszenia i śmierci.

Koncepcya to okropna, ale potężna w okropności. Młodość i miłość, bogactwo i władza przedstawione u dołu, a okropność śmierci uwieszona nad ich głową. U końca łowów czeka trumna, a droga do niej przez ohydne nędze, przez trąd i głód, przez kalectwa rażące i obrzydliwe rany. Oto myśl czarna, którą przywiódł ludziom przed oczy *Orcagna*, a dopełnił myśl swą w drugim tuż obok obrazie, w którym Chrystus sądzi żywych i umarłych. Siedzi on na tronie, chudy od gniewu i postu, i podniósł dłoń potępiając. Naprzeciwko siedzi Madonna na drugim tronie, pogrążona w modlitwie, w jaskrawej choć zakonnej szacie, ze złożonemi rękami. Oba trony uwisły w powietrzu wśród dwóch aureoli. Anioł z mieczem u ich stóp, na prawicy anioł prowadzi świętych w spokojnym zachwycie, ale o wiele większa część ludzi leci w piekło na męki, z okropnym przestrachem na twarzy. Drżyj człowiecze, gdy na to patrzysz, bo tam giną i mędrcy i królowie, cesarze i zakonnicy — na wieki.

A jednak te obrazy może uśmiech na twoje usta wywołają mimo straszliwej swojej filozofii. Bo obrazy owe to dla ciebie bohomazy. Przypatrzymy się bliżej straszniejszemu tylko i charakterystyczniejszemu utworowi: tryumfowi śmierci. Rysunek i karnacye już o wiele lepsze jak u Giotta. Rysy zajęły swoje miejsce. Członki ruszają się jednak jeszcze dość niezgrabnie, a postacie najwidoczniej malowane. Ciała te przyodziane od stóp do głów chciałyby żyć, a nie mogą. Rysunek niepoprawny, barwa głucha, a tylko wyrazy często dziwnie prawdziwe — przeciwnie jak na najdawniejszych utworach greckiej sztuki, gdzie ciała już piękne a twarze pozbawione wyrazów.

Grupy owe myślą tylko z sobą powiązane. Żadna wspólna akcya ich z sobą nie łączy. Stoją osobno, jedne obok drugich i jedne nad drugiemi. To jakby rozdziały jednego ponurego modlitewnika, ale to nie grupy *jednego* obrazu. Wreszcie nie ma tu perspektywy. Co ma być w głębi, to postawione w górze nad tem, co ma być na pierwszym planie.

Oto błędy w wykonaniu. Myśl przeraźliwa wyszła z ciemni wierzącej a ponurej duszy wielkiego budowniczego. W wyraźniejszej sztuce malarskiej poszedł jeszcze całkiem za natchnieniem średnich wieków, wieków dżumy, rozpusty i strachu, i głosił współczesnym Boga jako wszechmocnego mściciela, który nie ma miłosierdzia, jak tylko nad pustelnikami i świętymi. Gdy człowiek nie zna lepszej techniki, zadawalnia się gorszą. Podziwia zawsze najlepszą, którą zna. Obraz *Orcagni* budził tedy podziw współczesnych i choć nie budził złudzenia, tem gwałtowniej przemawiał do ich duszy. Kto w czternastym wieku na ów bohomaz spojrzał, wracał do domu do głębi skruszony. I o to chodziło, a nie o wywołanie estetycznego wrażenia. Obraz miał być dobrym uczynkiem, a nie przyjemnością dla widza, a jeźli się starano o prawdę w postaciach, to na to tylko aby tem wymowniejszem uczynić kazanie. Szczęściem, nie zdołano wywołać zupełnego złudzenia, bo wtedy fizyczny wstręt przed zgnilizną byłby widzów od obrazu nieprzemożenie odganiał.

Równocześnie z *Orcagną* malował *fra Beato Angelico da Fiesole* w klasztorze świętego Marka we Florencyi. Był to mnich, co śnił o madonach i aniołach. Na każdej ścianie w swoim klasztorze malował jakieś niecielesne widzenie. Czasem wykonane całkiem barbarzyńsko, a czasem lepiej. Ale postacie wszystkie mają dziwnie wątłe, jakby przezroczyste ciała, przyodziane w takież szaty — po za któremi jednak nie widać ciał. Wszędzie pełno błędów rysunku, ale w twarzach świętych dziwnie słodkie i natchnione wyrazy. Patrzą w niebo, mają rozpromienione czoła i do całusu złożone usta. Postacie to duchowne i bezcielesne, ulatujące do nieba i miłujące Boga, jakby jakieś pajęcze ostrołuki.

Raz trafiło się mnichowi stworzyć arcydzieło; jest nim malutka *Madonna della Stella*, miniatura na złotem tle *al tempera* wykonana.

Ciało Maryi bardzo wątłe, trochę przydługie, główka maleńka. Wszystko zda się lada wietrzyk porwie. Na głowie jej złota korona a niby zakonne szaty przyoblekły jej kibić.

Ciało owo wątłe z szatami ciężkiemi raziłoby może w rysunku, ale tu wystąpiła niezwyczajna we Florencyi moc kolorytu, co nikomu nie da uwierzyć w słabość i pokutę matki dziewicy. Szaty z szafirów niby i rubinów tkane, a miejscami złotolite. Czerwień z błękitem złączyły się w jeden akord głęboki a radośny. Z pod szat zaś twarz i szyjka i rączki wyglądają owiane rumieńcem zdrowia i młodości. Postać to widać niebiańska, zbyt wiotka na cierpienia i namiętności ziemi. Potęgi nie ma, burza by ją złamała, ale ona tak świeża, że burzy nie doznała pewno nigdy. A ma to z ziemianami wspólnego, że czuć może — ale piękno tylko i miłość i szczęście. Że kocha i to po ludzku dziecinę, o tem obraz świadczy wyraźnie. W ręku trzyma różane niemowlę: Ono wyciąga do niej ręce. Ona nad niem głowę pochyliła i tuli głowę do dziecięcia. I dziecię, i matka królewskie mają szaty i ciała powiewne, niebiańskie. Ale i u matki i u dziecka koralowe usteczka gotowe do pocałunku miłości. Wszak Marya chce Jezusika mieć najbliżej siebie; wszak złożyła lice na włos jego złoty i kędzierzawy. A oko Maryi! To migdał miękki — to szafir — to szmat nieba! Tak lśni się, jak dzień pogodny — jakby się w nim łza roztopiła.

Są tu jeszcze błędy rysunku, i brak tu cieniów delikatnych. Ale miniatura nie daje błędom na wierzch wystąpić i nie daje im razić oka. A same rozmiary lube drobnością swoją. Człowiek radby się pieścił z tą królową anielską. Onać taka misterna — onać niby opieki potrzebuje, choć na jej czole i chmurki nie ma — choć żaden muszkuł nie zadrgał na jej twarzy niepokojem.

Gwiazda na jej siadła czoło; anioły w szatach weselnych ulatują nad nią na skrzydłach jaskółek; ich włos złocisty faluje lotem; falują szaty z purpury. Ciało ich jakby wiew wiatru. Twarze jasne nieskalanem, niezmysłowem zdrowiem chrześcijańskiego nieba. One i gwiazda służą przenajświętszej matce dziewicy. Boć pewno matka owa jak śnieg nieskalana. Boć jej ciało to lilia — to kwiat, co nie cierpi dotknięcia. Gwiazda zleciała z nieba, zeszła z kryształowej drogi swej, by siąść na czoło Niepokalanej. Ona w wielkiej u Boga łasce, jej orszakiem anioły, a ona ich królową. Nie przez własną potęgę, lecz przez łaskę boską wyniesiona, bądź pozdrowiona, królowo!

I oto wymodlone przez mnichów piękno niecielesne zjawiło się na obrazie. Już stanowczo znikły i skonały uroczyste cienie bez uczucia; martwi święci kopuł złotych pokonani.

Ale ten ideał nowy mógł się tylko w miniaturze zjawić doskonały. Wielkie obrazy raziły ciągle oko nieudolnością. Aby módz duchowne uczucia za pomocą obrazów w sposób doskonały przedstawić, trzeba było się bruć z materyą. Wyodnalezione płaskorzeźby greckie dodawały kolca artystom, i kazały im dążyć do technicznej doskonałości której i rozumna publiczność Florencyi wymagała. Trzeba się było tedy bruć z materyą, trzeba było słuchać wszystkich pulsów życia, trzeba było zajrzeć pod skórę, by ujrzeć skład mięśni, i wałęsać po ulicach, by dostrzedz wyrazu nieuczonej namiętności. I uczynili to we Florencyi w połowie piętnastego wieku, w chwili, w której Bruneleschi budował, *Verocchio* i *Domenico Ghirlandajo*, *Masaccio* i *Massolino*, *Benozzo Gozzoli* i *Luca Signorelli*.

Ghirlandajo i Verocchio byli nieubłagani w realizmie. Pytali się matki natury o każdą zmarszczkę i pryszcz każdy. Pierwszego lepszego mnicha przerabiali na Chrystusa, zachowując wyraz jego takim, jakim był w istocie. Żydów kupców ubierali wprawdzie w draperyą idealną — ale w nieidealne przyrodzone im wyrazy i kazali im udawać apostołów. Z tłustej przekupki zrobili Madonnę, a wszystko tak grupowali, jak Bóg dał, jak to codzień na targu widzieli.

Ghirlandajo jest nawskróś Florentczykiem. Nie maluje delikatnych cieniów. Nie znać na jego obrazach tego, czy słońce świeci, czy też półcień rozlał się po świecie. Światło i barwę uważa za wypadek, a w kształcie widzi ideę, istotę człowieka. Linie są dla niego wszystkiem; w nich odgaduje myśl Boga matematyczną, i nie śmie tej myśli kalać, zwłaszcza, że ona misterniejszą jeszcze od najmisterniejszej architektury. Jak Grek cieszył się spadem rytmicznym szat na ciało zarzuconych w sposób klasyczny, a jako malarz odkrył dziwną konsekwencyą praw perspektywy.

Chrystus jego zasiada przy wieczerzy wśród apostołów u świętego Marka we Florencyi. Na tym obrazie ściennym dziwna już prawda w śmiałym rysunku. Przedmiot chrześcijański nie pozwolił na to, by ciała obnażyć, ale widać formy ich pod szatami. Barwy tylko na to są, aby zwrócić

uwagę na obraz. One nic prawdy nie dodają, i legły w wielkich masach, jaskrawe bardzo i widne. W niczem jednak nie zwracają uwagi na siebie. Nie ma w nich harmonii — czerwony kolor sam jeden przeważa, nie ma walki świateł i cieniów, i wszystko w jednostajnem oświeceniu tylko służy do odznaczenia wielkich linii draperyi. Twarze, ruchy i ugrupowanie dalekie od wszelkiego ideału. Mistrz badając naturę zapomniał o tem, co niegdyś wyobraźnia florentyńska wymarzyła. Stworzył technikę, nią samą się cieszył, za nią odbierał pochwały, a zapomniał o jej celu.

W Paryżu widać, w Luwrze, wielki obraz olejny Ghirlandaja, przedstawiający odwidziny matki Boskiej u św. Elżbiety. Dwie kobiety naturalnej wielkości, doskonale rysowane, biegną naprzeciw siebie. Jaskrawe draperye zdradzają ruch ciał, a obraz widny na całą salę. I tu niewieście wyrazy całkiem pospolite, a męskie głowy na wieczerzy pańskiej mają nawet wyrazy niedobre.

Masaccio umarł bardzo młody. Mimo to zajmuje bardzo wybitne miejsce w rzędzie malarzy piętnastego wieku, a to mianowicie przez freski wykonane w kościele *santa Maria del Carmine* we Florencyi. Pomiędzy niemi na wzmiankę zasługują wielki obraz „Chrystus z groszem“ i dwa mniejsze obrazy przedstawiające grzech pierworodny i wygnanie z raju.

Chrystus z groszem zajmuje całą prawie ścianę. Widać na nim płaski, ponury, dobrze odmalowany krajobraz, i chmurne niebo. Na tem ciemnem i nijakiem tle występują trzy wielkie grupy udrapowanych postaci, ułożonych w sposób prawie architektoniczny. Największa grupa po środku. W niej Chrystus w białej draperyi stoi w bardzo godnej postawie. Apostołowie i faryzeusze otoczyli go, i tworzą draperyami płaszczów swoich grupę matematycznie pojętą, tworzącą jakby łuk kolisty, pełną spokojnego rytmu linii. Dwie boczne grupy, odłączone wielką przestrzenią szarego tła, tworzą niby dwa smukłe ostrołuczki. Z jednej strony widać rybaków łowiących rybę, z drugiej Piotra oddającego celnikowi grosz znaleziony w rybie.

Wielkie masy, o jaskrawych draperyach, oświeconych jednostajnem światłem, majestatycznym rytmem linii ujętym w ściśle toskańską matematykę, robią uroczyste i kościelne wrażenie na widza, któremu się wydaje, że patrzy na ogromne postacie, poruszające się w sposób bardziej uroczysty jak zwyczajni ludzie. Ciała są ogromne i potężne, o ile pod draperyami ciała owe odgadnąć można. Masaccio zbliżył się w tym do pojęć starożytnych, nie śmiał jednak w innej rzeczy hołdować temu samemu kierunkowi rozumowego idealizmu, który mu matematyczny rytm linii podyktował, i który w tym względzie starożytnych zakres przekroczył, sparty o doświadczenie średniowiecznego budownictwa. Twarze postaci świętych wcale nie są idealne, nie są nawet typowe. Są to twarze zwyczajne, widziane na ulicach Florencyi, i to nawet twarze nie piękne. Masaccio bał się bizantyńskiej martwoty, cieszył się podsłuchaną prawdą i nabytą sztuką, i kopiował naturę ślepo, poprawniejszy tylko układ nadając postaciom.

Grzech pierworodny i wygnanie z raju przedstawiają nagie ciała na ciemnem tle. Pierwsze to poprawnie namalowane ciała po długiej przeszło tyloletniej przerwie. Pierwszy raz wystąpiła przed uniesioną widokiem publiczność Florencyi,

owa architektonika ciał, którą ukochał niegdyś Poliktet. Ale to ciała wcale nie greckie. Masaccio uważał barwę za rzecz powierzchowną, którą wolno zaniedbać, linie za rozumową treść ciał, i nadał przeto swym utworom dziwnie intelektualne pozory właściwe tylko florentyńskim obrazom. Nie posunął jednak pracy umysłowej tak daleko, aby idealizować ciało, aby odmalować ciało normalne. Kopiował nagiego mężczyznę i nagą kobietę wiernie, portretowo, uczynił to dobrze i dokazał wielkiej sztuki, i na tem poprzestał.

Massolino w tej samej kaplicy szedł tą samą co Masaccio drogą. Choć już do późniejszego nieco należał pokolenia, ani na krok nie posunął sztuki. Następujący krok naprzód zrobił Benozzo Gozzoli z powodu soboru florentyńskiego.

(C. d. n.)

BEZIMIENNE DZIECIĘ.

W izbie szpitalnej gwar — choć niewesoły...
To biednych dziatek brzęczy gwarny rój....
Garść przyszłych uczniów dla życiowej szkoły,
Zastęp stworzony na mękę i bój!
Bieda i nędza z pod rodzinnej strzechy
Do miłosierdzia rzuciła je stóp —
Obce im matki i łzy i uśmiechy,
Bo matka w nędzy, — albo matką — trup...
Nie dziw, że smutno pochylone czoła,
Twarzyczki blade, jak jesienny kwiat...
Czują, że nie masz nad niemi anioła,
Coby dłoń swoję na główkę im kładł.
A między niemi — jedno złotowłose
Żałośnie płacze sierocemi łzy,
Jakby się prosząc na łąkę, na rosę —
Z miejskiej kurzawy, zaduchy i mgły...
Wczoraj wieczorem, pod murem szpitala
Czyjaś je ręka rzuciła na bruk...
A los, co ptaszę zbłąkane ocala,
Przeniósł je cało na szpitalny próg.
Miało na sobie cienką koszulinę
I zawinięte w koronki i puch...
Czyliż je ręce stroiły matczyne,
Czy na szyderstwo zły pieścił je duch?
Płacze biedactwo.,. najemne pieszczoty
Matki cudownych nie zastąpią słów...
Dla bezimiennej zgasł ów promień złoty,
Co łzy wypija, budząc uśmiech znów...
Płacz lube dziecię! płacz ty, bezimienne!
Własna cię matka odepchnęła precz,
W puchy spowiła uśmiechnięte, senne —
I porzuciła pod niedoli miecz...
Płacz biedne dziecię! — nikt cię nie ukoi!
Jesteś przybłędą — obcy dla cię świat...
Ci wszyscy ludzie — to nie krewni twoi...
Te małe dzieci — nie siostra i brat!
Na czole twojem, zamiast łzy matczynej
Okropne piętno pozostawił srom —
Ty nie masz swoich! ty nie masz rodziny!
Obce cię ściany, obcy przyjął dom.
Płacz, biedne dziecię, wygnane na wieki
Z kraju, gdzie błyska szczęsnej doli świt!
Twój raj stracony, twój anioł daleki,
Własnością twoją sieroctwo i wstyd.
Płacz! — łzy niedoli niech płyną swobodnie,
We łzach jedynie twój talizman jest.
Piętno sromoty i obcą ci zbrodnię
Z czoła niech zmyje czystych łez twych chrzest!
I pójdziesz smutne do smutnej gromadki
Tych, co skazani z gorzkiej czary pić,
Bez dłoni ojca, bez uśmiechu matki,
Walczyć, — upadać, — zwyciężać — i żyć.
Tyś bezimienne! i to, co świat ceni,
Imię, nazwisko, znaczenie i cześć
Tobie wydarto — i los się nie zmieni,
Bez przywilejów musisz ciężar nieść.
Jak kłos wyrosły na pustynnej ziemi,
Będziesz samotne wśród życiowych pól —
Aż i ty znajdziesz swoią Rut z Noemi,
Choć pozostanie tęsknota i ból.
Choć ci się ciernie na dyadem splotą,
A los na drodze stanie ci jak wróg...
Choć bezimienne — nie będziesz sierotą:
Matką ci — ludzkość, a twym ojcem — Bóg!

Stanisław Grudziński.

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Ciąg dalszy.)

— I nic nie czytać, nie kształcić się?

— Dlaczego, i to można, tylko nie żadną filozofię, ani tam jakieś studya historyczne. Naprzykład, lubię pisma humorystyczne, lubię wesołą komedyjkę jaką, człowiek się uśmieje i potem spi...

— Otóż ma pani najpraktyczniejszą radę— rzecze, śmiejąc się Pawełek.

— Ja już to dawno praktykuję, i nic nie pomaga, zakochać się nie mogę...

— To obwiązać serce mokrym ręcznikiem, i powiedzieć mu, żeby spało... a może dostanie pod takim kompresem potów...

— Widzę, że ja już dzisiaj nie wydobędę od pana lepszej, serdecznej rady — rzecze panna Ludwika, wstając z fotelu i szukając swego kapelusza. — Dlatego spodziewam się, że panowie zechcą nas odwiedzić w hotelu, a wtedy pomówimy seryo o mojej chorobie... Mam pewną tajemnicę do odkrycia, która może ułatwi panu kuracyę, panie doktorze.

— Z całą przyjemnością służyć im będę — rzecze Paweł, ściskając podaną rączkę.

— Całe południe jesteśmy w domu...

Damy powstały, żegnając młodych panów, Tadeusz uprzedził Pawła, podając rękę Ludwice, zatem Pawełkowi została pani Joanna, którą wśród admiracyi stróża i przekupki, odprowadził do samej dorożki.

— Jeżeli to panu nie zrobi przeszkody w wycieczce na te Krzemionki — mówi żegnając Tadeusza Ludwika — racz pan nas odwiedzić w rannych godzinach.

— A już mam przyrzeczenie pana — wtrąca pani Joanna — że nam zarekomenduje adwokata...

— Szkoda, wielka szkoda, że to pan jesteś doktorem — szepnęła mu Ludka, kiedy ją wsadzał do fiakra.

* * *

— A niechże ciebie Pawełku dyabli porwą ze swoją mistyfikacyą! — krzyknie zaperzony koncypient. — Wydarłeś mi przynajmniej tysiączek guldenów z kieszeni.

— W jaki sposób?

— A cóż, muszę je zaprowadzić do mojego starego o tę sukcesyę, i wezmę dwadzieścia procentów... kiedy mogłem wziąć wszystko. Jakiż ja głupi, że się dałem namówić. To mi panna, ha! — śliczności, jak Boga kocham, hrabina, co ja gadam, księżna... A wiesz ty, ile ona będzie miała?

— Co mię to obchodzi..

— Najmniej sto tysięcy guldenów, ja już wybadałem. Spadek ci idzie na dwie, to jest matkę ich i ciotkę... a ich znowu tylko dwie: ojciec nie żyje, więc czwarta część czysto dla Ludki. Ciotka podobno stara panna.

— Widzę, Tadeuszu, jesteś zaintrygowany...

— Mówię ci, zakochany, dalibóg, po same uszy... Czy to Emilka, co? No, powiedz sam, gdzie jej do panny Ludwiki? I to ci panie gotówką, zaraz.. pewne, jak bułka za grosz... A tobie, jak się podobała?

— Jakaś dziwaczna, zanadto śmiała..

— Wierzę, wierzę, tobie nie takiej potrzeba. Ty lubisz delikatne, nadpowietrzne sylfidy, kandydatki do suchot, poetyczne. A to ci panie kobieta praktyczna, bardzo mi się podobała, o bardzo.. Przy wsiadaniu, powiedziała mi: „szkoda, że pan jesteś doktorem...“ Cóż, pójdziemy do nich?

— A jużciż trzeba.

— No, a jakże z temi przemianami?

— Trzeba się przyznać, i rzecz skończona.

— Ja bo mam doskonałą wymówkę — rzecze, zacierając ręce Tadeusz — uprosiłeś mię, i po przyjaźni musiałem, a ty co?

— Ja powiem, że mam takiego przyjaciela, który, aby siebie uniewinnić, gotów całą winę zwalić na mnie.

— Niesprawiedliwy jesteś Pawełku! Co, nie wierzysz w moją przyjaźń?

— Słyszałem przecie...

— To widzisz, tak się mówi, ale ja dla ciebie wszystko jestem gotów... naturalnie co mogę. I mówię ci, jak się wezmę do Goldfelda, to ci go panie z tych twoich weksli tak okroję, że mu nie dasz więcej, jak połowę.

— Dziękuję za taką łaskę.

— I nic od ciebie za prowadzenie sprawy nie wezmę, słowo honoru, ani centa... tylko ma się rozumieć stemple, wpisy, kopie...

— Nie, mój drogi, nie będę cię trudził: com winien i com podpisał, to zapłacę.

— Śmieszny jesteś z tym twoim honorem... wszak żyd cię obdarł..

— Za mojem zezwoleniem... Ale dajmy temu pokój... takie są moje przekonania...

— Wiesz co — mówi, żegnając serdecznym pocałunkiem kolegę pan Tadeusz — jak to Pan Bóg zawsze za jedno złe, zaraz daje nagrodę i pociechę. Żeby nie Emilia z tym bukietem, nie byłbym u ciebie... Śliczna sobie ta Ludwika... ależ to cud.. jestem zachwycony... No, bywaj zdrów...

Wychodząc, zabrał ów bukiet z sobą, i już we drzwiach zapytał:

— Słuchajno, czyby to nie wypadało posłać im, co?

— Sądzę, zawcześnie... tak mało się znamy... — odpowiada Paweł, zamykając drzwi.

Dlaczego zawcześnie — duma sobie koncypient, zdążając na ulicę — ładny bukiet, dałem półtora guldena... szkoda go tak zmarnować... Eh może i nie dawać, ten bukiet nie ma już szczęścia — mówi sobie dalej, przypomniawszy ranne „w jakim celu.“ — Ba, ba, ba... niechnoby mi się te zapytały „w jakim celu?“ I owszem, i owszem... powiedziałbym... wiedziałbym co powiedzieć.. A może Bóg da, że i powiem... Widziałem, obie się brały do mnie, a ta Ludka, jakie to pieszczotliwe imię Ludwinia, Ludeczka... Trochę ona, jakby to powiedzieć, ekscentryczka.. jakieś niby fanaberye... ale dwakroć, panie... no! i psia k... ładna bo ładna... Już widzę, zaczyna iść człowiekowi... i pójdzie... dlaczego nie ma iść? Przecież jestem coś lepszego od wielu innych, którym idzie; ma się coś gotówki, było się za granicą, panie, i w Peszcie, i w Maryenbad, i w Pomeranii; jest co powiedzieć, z czem się odezwać... A ten Pawełek... jaka z niego rura! Zły, widzę, nos spuścił na kwintę... a ma się za wykształconego, pisze... Nie tędy bratku, nie tędy idzie się do serca kobiecego! — Ja ci panie inaczej... pięknie, grzecznie, aby tylko zmiarkować co ona chce... a żem zmiarkował — to nie ma co gadać. Ho! ho! masz spryt Tadeuszku, oddaj sobie sprawiedliwość, że masz.

Wśród tak rozkoszno błogich rozmyślań, przypomniał sobie Tadeusz, że trzeba wyszukać kogoś, któryby zaniósł ów bukiet paniom do hotelu. Wzrok jego padł na Jakóba z fajką w ustach, zamiatającego z wielkiem namaszczeniem bramę swej kamienicy.

— Słuchajno przyjacielu, nie mógłbyś odnieść tego bukietu tym paniom, które dopiero ztąd wyjechały.

— Oloboga, co nie mam zanieść, ino kaj?

— Do Saskiego hotelu, wiesz; zresztą pójdź za mną, ja ci pokażę... tylko odwiąż ten fartuch i włóż jaką porządniejszą kapotę.

— Duchem wielmożny panie — odpowiada, chowając fajkę i biegnąc pod schody do swej komórki. — Widzi pan, że ja mam przyodziewek jak się patrzy — mówi, wychodząc za chwilę w białej sukmanie i w wysokim kapeluszu na głowie.

— No, masz ten bukiet i chodź prędko za mną.

Koncypient puścił się szybko ulicą, a Jakób za nim, stukając przeraźliwie nowemi butami po bruku tak, że wszyscy przechodzący spoglądali na niego.

Hotel Saski, jak wiadomo, jest przy Sławkoskiej ulicy; więc, stanąwszy przed bramą, Tadeusz obejrzał się na swego posłańca.

— Jakóbie, a ta miotła na co?

— A jakże pan chciał... toć to moja miotła! Gospodarz mi przykazali, coby ja się nikaj nie ruszał bez miotły, bo ja sobie jestem stróż...

— A odnieśże mi zaraz to do kamienicy! Cożeś ty zwaryował, walić tak do pań z miotłą i bukietem?...

— Eh, na co ta robić taki sztuk drogi... postawię ja za wrotami *fotelu*...

— Stawiaj, stawiaj — mówi Tadeusz — niech i tak będzie. A rozpytawszy szwajcara pod którym numerem stoją takie a takie panie, informuje Jakóba.

— Pójdziesz na pierwsze piętro, ten pan ci pokaże które drzwi, i oddasz ten bukiet, rozumiesz?

— Baczę...

— I powiesz, że to od tego pana doktora... Czekaj, może mam bilet... Tam do dyabła, kiedy ja, to nie ja...

Jakób, który przez cały czas rozmowy patrzył jak w tęczę w twarz koncypienta, ogromnie się zdumiał, dowiedziawszy się, że ten pan, to nie jest ten pan.

— No, to idź już tak bez biletu i powiedz... A niechże cię, jakże tu powiedzieć, żeby one wiedziały, że to odemnie... Czekajno...

— O... o... o... wielga rzecz powiedzieć, toć ja potrafię i sam. Nierazem ci ja chodził do nasego pana Ulijana Kirchemajora...

— Ale widzisz, bo to trzeba umieć...

— A cóż ta umieć; rzeknę, pan mi dali, coby oddać jaśnie wielmożnej grafini te kwiotki...

— Właśnie to będzie głupio...

— No, to zagadam jesce lepiej, nie bój się Pan, Jakóba nie trza uczyć: pan też kazali się bardzo pięknie pokłonić jasnej grafini i przysłali...

— Ale któż ten pan cymbale, któryż pan?

— No, ten od *metereusa* (miało to znaczyć notaryusza). Albo ja to pana nie znam.. Toć kiej nasi robili donacyę na grunt, ja tam pana widział...

— Słuchajże, powiesz tak: ten pan doktor starszy, co był u doktora... nie, nie; powiedz lepiej, że nasz doktor z kamienicy, ale nie ten z jasnemi włosami... uważasz..

— Uważam...

— Przysyła i prosi, aby pani przyjęła..

— A nie gadać tego, co się kazali bardzo pięknie ukłonić..

— Jak tam chcesz, ale będziesz wiedział, co?

— Cóżbym znowu nie wiedział; czy mi to pierwszyzna do panów gadać, czy co? Póki się było na swojem gospodarstwie, to do pana Ulijana ino ja z gromady chodziłem...

— No, to dobrze, idź, a jak się sprawisz dobrze, dostaniesz szóstkę na tytoń.

— A niech też tu wielmożny pan da pozór na moję miotłę hań, za temi wrotami, bo jakby mi chwycił jaki paper, toby się i ta szóstka nie opłaciła...

Dla samej ciekawości, jak wypełnił swoje poselstwo stróż Jakób, pójdźmy za nim na pierwsze piętro i wejdźmy pod numer czwarty, gdzie właśnie mieszkały nasze damy litewskie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiada panna Ludwika. — A cóżto powiecie mój człowieku?

— Ten pan dochtor kazali się bardzo pięknie jasnym grafiniom pokłonić, i przysyłają takie kwiotki, coby je jasne grafinie wzięły.

— Jaki doktor? — pyta, zbliżając się do Jakóba panna Ludwika, a za nią i pani Joanna.

— A ten dochtor, co jest nasz a nie nasz...

— Nic nie rozumiem — mówi Ludka, hamując śmiech wobec komicznej postawy i drapania się w głowę Jakóba.

— Jakto, wasz a nie wasz? — rzecze pani Joanna.

— A jużci, tak jest, bo oni tak kazali pedzieć, że oni są dochtor nie nasz, ale są od *metereusza*, co jest na Grodzkiej ulicy. Oni pedzieli, że oni to nie są oni...

— A cóż oni są?

— Bóg ich ta wie...

— Jakże wygląda ten pan?

— O... o... o... nijaki sobie panocek... z wąsikami...

— A nazywa się?

— Kaj zabaczyłem... dyć prawda... to on są ten dochtor, co nie mają białych włosów.

— Gdzież ten pan jest?

— A haniok na dole, pilnują mojej miętły za wrotami.

— Mój człowieku, tyś się chyba upił i pleciesz koszałki opałki — daj nam pokój i idź z panem Bogiem.

— O... o... o.. labcga, cóż to jasna grafini mię nie poznaje, czy co? Dyć ja jestem Jakób, stróż z tej kamienicy, co jasne grafiny były niedawno... co ja je prowadził do naszego pana dochtora.

— Więc on ci dał ten bukiet?

— Ale kajta on, to ten drugi, nie nasz...

— Także doktor?

— A jużci, pono dochtor ino nie od ludzi...

— To od czegoż on, od bydła, czy od koni?

— Ale kajta! on jest od dokumentów dochtor, co u metereusza pisze tranzakcye o grunt...

taki czarniuśki... on ta był u naszego, jak jasne grafinie były...

— Wyborny, wyborny! — zawoła Ludka, klaskając w ręce i odbierając bukiet. — Więc powiadasz, że pilnuje twojej miotły na dole?

— A juści, bo to nowiuśka miotła, kupił gospodarz na Szczepańskim kiejsik, i dali szóstkę i trzy grajcary, a patyk to ja kupiłem sam, i dałem z wielkim targiem pięć grajcarów..

— No, to podziękujże panu, i masz tu na piwo — rzecze Ludka, dając mu w rękę kilka centów.

— Bardzo też pięknie dziękuję jasnej grafini; choć ja ta piwa nie piję, ale se zakuszę cyganka.. Niech będzie pochwalony...

— A co, nie mówiłam, że on nas zmistyfi kował, co? — rzecze panna Ludwika do siostry, oglądając bukiet. — Ja zaraz poznałam, że oni zamienili role z sobą. Poczekajże, panie Pawle, dokuczę ci ja za to... Tylko spojrzałam na ich zmięszane miny, już wiedziałam, że tu jest coś... Zresztą, przecie doskonale pamiętam owego Pawełka, który się bawił ze mną, przyjechawszy z Wilna na wakacye; włosy miał białe jak len, a brwi czarne...

— Muszę uwierzyć, że tak jest... serce nie zawodzi, prawda Ludko?... a i ten poczciwiec Jakób, widział go u tego... jak on to nazwał, notaryusza...

— Metereusza...

— Doskonały sobie Krakowiak, ależ na scenę go gdzieś do teatru, wyborny...

— Wytłómacz mi tylko Joasiu — przerywa Ludwika — zkąd on wiedział, że to my?

— Widzę, że wpadasz na to samo, co ten stróż mówił, że on, a nie on.

— Musiał wiedzieć... ktoś go uprzedził... A.. a.. a... jestem w domu! To ciotka kochana pisała mu z Częstochowy... pamiętam, pytała się lokaja w hotelu, jakiej marki potrzeba do listu za granicę... Niezawodnie go uprzedziła...

— A i teraz, gdzie ona się podziała? tylkośmy wróciły, zaraz wymknęła się niby na nieszpory... gdzież mogą być we środę nieszpory?— pewnie pobiegła do Pawła.

— Widzisz, że nas zdradzono, ale poczekaj panie doktorze, mam ja na ciebie sposób... że ja mu dokuczę to dokuczę.. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Dzieła Juliana Bartoszewicza. T. I. i II. Historya literatury polskiej — wydanie drugie powiększone. Kraków 1877. Nakładem Kazimierza Bartoszewicza.*)

Oddawna już publiczność polska oczekiwała na drugie wydanie Historyi literatury polskiej Juliana Bartoszewicza; dzieła tego już od lat kilku nie można było znaleść w handlu. Obecnie oczekiwaniu temu staje się zadość i można przypuszczać, że i ta druga edycya w lot rozchwytaną zostanie.

Wydawca (syn ś. p. Juliana) w przedmowie usprawiedliwia się, iż puszczając tę książkę po raz wtóry w świat, nic w niej nie zmienił z poglądów ojcowskich, które tylu znajdowały przeciwników i krytyków. Jakkolwiek sam należę do tych, którzy na niejeden pogląd Bartoszewicza zgodzić się nie mogą, muszę jednak przyznać, że wydawca postąpił sobie najstosowniej. Łatwo jest poprawiać błędy w faktach i datach na podstawie najnowszych badań krytycznych, ale bardzo trudno przerabiać cudze poglądy tak, żeby całość na tem nie ucierpiała. W przerobieniu Historyi literatury Bartoszewicza trudność ta byłaby jeszcze większą, niż w jakiemkolwiek innem podobnem zadaniu. Książka ta w każdym szczególe nosi tak wybitne piętno indywidualności autora, że najmniejsza zmiana wydałaby się rażącą, wyglądałaby jak dyssonans.

Mógł jednak wydawca sprzeczne opinie, dotyczące ważniejszych punktów, umieścić w dopiskach, tym sposobem tekst nie byłby naruszony, książka nie utraciłaby swej wyrazistej fizyonomii, a zarazem niektóre zbyt jednostronne poglądy autora miarkowane byłyby przeciwnymi poglądami, ale tu znów powstrzymało wydawcę przekonanie, że właściwie żaden z poglądów autora, pomimo ostrych zarzutów i krytyk, jakie te poglądy ściągnęły na siebie, nie podlega sprostowaniu, to jest, że wszystkie zarzuty czynione poglądom Bartoszewicza były niesłuszne. Uznał więc za stosowne dać w przedmowie krótką i sumaryczną odprawę wszystkim krytykom autora i na tem poprzestać. Było to wygodnie, sądzę jednak, że praktyczne znaczenie książki, jako podręcznika naukowego, zyskałoby wiele, gdyby wydawca był sobie postąpił tak, jak to wyżej wskazano.

Bądź co bądź, dobrze jest, że mamy drugą edycyę Historyi literatury Bartoszewicza, której brak szczególnie się dawał uczuwać w wychowaniu domowem. W istocie żadna inna Historya literatury polskiej nie zdołała zastąpić książki Bartoszewicza, nie tyle pod względem bogactwa szczegółów, które jest czasem nawet zbytecznem, ile pod względem ciepła utajonego w całej książce, pod względem owej miłości i uszanowania dla rzetelnej zasługi narodowej, któremi napojone są wszystkie karty jego Historyi literatury. Nawet w zbyt jednostronnych, czasem dziwacznych zapatrywaniach się autora czuć, że nie wypłynęły one z koteryjnego ducha, ale z miłości ogarniającej całość narodu.

Bartoszewicz jest konserwatystą czystej wody, dla tego radby zawsze widzieć naród w najlepszej zgodzie z kościołem, dla tego stara się wszędzie bronić tego ostatniego od zarzutów, jakie go z różnych stron spotykały, dla tego usiłuje nawet zdjąć z Jezuitów wyłączną odpowiedzialność za ciemnotę, jaka w 17 i 18 wieku zapanowała w Polsce. W tym ostatnim względzie nie bardzo mu się udaje, przynajmniej nakreślenie przyczyn nagłego upadku oświaty i literatury w okresie makaronicznym jest bardzo niejasne, i pobieżne. Ale konserwatyzm Bartoszewicza nie jest ultramontanizmem i interes narodowy zawsze u niego pierwsze miejsce zajmuje przed kościelnym. Dla tego gdziekolwiek dostrzeże zasługę narodową, w jakimkolwiekbądź obozie religijnym, wszędzie ją podniesie i uczci.

Pod względem literackim i pedagogicznym dadzą się zrobić rozmaite zarzuty Historyi literatury Bartoszewicza. Z tych najważniejszym jest brak dostatecznej proporcyi w częściach i dość jasnego rozkładu tych części. Bartoszewicz, jako historyk, szczególną uwagę zwracał na historyę i dla tego historyografia zajęła w jego książce daleko więcej miejsca, niżby się jej w stosunku do innych działów literatury należało. Zarzut ten da się w szczególności zastosować do najnowszego okresu literatury, który w ogóle, z wyjątkiem historyi, jest najmniej pełnym i musi być uzupełnianym z nowszych podręczników.

Chcąc zaradzić tej potrzebie, wydawca zamierza wydać dodatek do tej książki, zawierający historyę kilkunastu ostatnich lat naszej literatury. Prócz tego umieścił w samej książce wiele dopisków, które jednak przeważnie składają się z suchych dat i wskazówek. Niektóre z tych dopisków, bardzo nieliczne zresztą, wypisane z notatek samego autora, i te naturalnie najwięcej nas interesują. Jeden z takich dopisków dotyczy Juliusza Słowackiego, któremu się w tekście ledwie jedna stronica dostała. Są tu w krótkich słowach spisane wrażenia autora po przeczytaniu pośmiertnych utworów Słowackiego.

W dopisku dodanym przez wydawcę do krótkiej wzmianki, którą sam autor zrobił o sobie, a która jest właściwie tylko bibliograficznym spisem jego dawniejszych prac historycznych, znajdujemy wiadomość o niewydanych jeszcze dziełach Bartoszewicza, które prawdopodobnie teraz dopiero wyjdą na świat. Są to następujące prace: „Początkowe dzieje Polski“ (4 tomy), „Anna Jagielonka“ (2 tomy), „Adam Kisiel“ (1 tom), „Aleksander Jagiellończyk“ (1 tom), „Rys dziejów kościoła ruskiego w Polsce“ (1 tom, drukowany częściowo po różnych czasopismach), „Tablice historyczne“ (3 tomy, także częściowo drukowane,) oraz wiele pomniejszych prac, jak „Żywot Stanisława Poniatowskiego“ (ojca króla,) niedokończony „Żywot Hozyusza,“ również niedokończone „Dzieje Biały Radziwiłowskiej“ itd. Niepodobna nie podziwiać olbrzymiej pracy tego człowieka, który żył tylko lat 49, a tyle dzieł wydawszy za życia, tyle pism zasiliwszy swemi pracami, jeszcze tak bogaty zapas prac zostawił po sobie w rękopiśmie.

J. T.

TEATR.

(„Teatr amatorski,“ krotochwila w 2 aktach przez Michała Bałuckiego, po raz pierwszy przedstawiona we Lwowie 8. października).

Smutną jest częsta dola recenzenta teatralnego, gdy przykuty obowiązkiem do krzesła musi dotrwać na niem do końca przedstawienia, pomimo iż przedstawiana sztuka nudzi go, a gra artystów wydaje mu się ciągłym fałszem artystycznym; ale podwójnie smutna bywa wtedy, kiedy widzi, że on sam jeden tylko nudzi się, że tylko jemu sztuka nie podoba się, cała zaś publiczność bawi się w najlepsze i przyjmuje i grę i sztukę z zupełnem zadowoleniem. Jeżeli recenzent nie uważa się za nieomylnego, nasuwają mu się wówczas do głowy rozmaite wątpliwości. Czyż może istnieć tak wielka różnica pod względem smaku artystycznego pomiędzy nim a publicznością? Czy to nie chwilowe złe usposobienie jest przyczyną złego wrażenia, jakie nań robi sztuka? Czy może wiele się spodziewał, i dla tego się zawiódł? i t. p.

Na przedstawieniu „Teatru amatorskiego“ jeżeli dola recenzenta była smutną, to przynajmniej pojedyńczo a nie podwójnie, to jest jeżeli recenzent się nudził, to przynajmniej miał tę pociechę, że razem z nim nudziła się i publiczność. Widać to było po braku ożywienia w teatrze i po rozmaitych wykrzyknikach i uwagach, jakiemi się zwykle obdzielają wychodzący z teatru.

A jednak sztukę, o której mowa, napisał pan Bałucki, który jako powieściopisarz cieszy się znaczną popularnością, a jako komedyopisarz dał niejeden nam dowód, że umie zabawić publiczność. Że sam autor nie wielką przywiązywał wagę do swego najnowszego utworu, świadczy o tem nazwa, jaką go ochrzcił; ale jeżeli nazwa krotochwili nie rości pretensyi do wyższego znaczenia artystycznego i tendencyjnego, to w każdym razie obiecuje wiele humoru i śmiechu. Bałucki, krotochwila, dwa te nazwiska skombinowane, zapowiadały dobrą zabawę i może dla tego zawód był tem większy. Być, może także, że po „panu Damazym“ staliśmy się wybredniejsi i bardziej wymagający.

Jakiż jest błąd organiczny „Teatru amatorskiego“? Czego nie dostaje tej sztuce, aby była wesołą i przyjemną krotochwilą?

Nie można zaprzeczyć, że fabuła jest dość zgrabną. Tematem wprawdzie jest tu znowu polowanie na męża, raz już obrabiane przez tego samego autora, ale jak polowania myśliwskie są rozmaitych rodzajów, tak i polowania na mężów są różnorodne. Tym razem rolę sieci myśliwskich odgrywa teatr amatorski. Pewna burmistrzowa małomiejska, matka Dorci świeżo przybyłej z Sacré-coeur ze Lwowa, dowiedziawszy się o przybyciu do miasteczka majętnego inżyniera, chce go upolować dla córki. W miasteczku bowiem nie ma wcale kawalerów z pozycyą; jest wprawdzie pan sędzia, i zaleca się nawet do Dorci, ale kawaler to już nie pierwszej młodości, przytem nie tak majętny, jak inżynier. Pan sędzia, zapalony zwolennik teatru, z radością chwyta poddaną sobie myśl urządzenia amatorskiego przedstawienia i przyrzeka sprowadzić inżyniera, nie domyślając się, o co chodzi. Mają być grane „Śluby panieńskie,“ sędzia bierze sobie rolę Gustawa, inżynierowi przeznaczają Albina. Ale inżyniera nikt jeszcze nie zna. Dorcia jest bardzo rada, domyśla się bowiem, że to musi być jej znajomy ze Lwowa, jakiś majętny młodzieniec, który chcąc się z nią widywać, odgrywał rolę nauczyciela muzyki na pęsyi. Wreszcie nadchodzi dzień próby. Zjawia się sędzia z inżynierem, ale sędzia jest trochę zakłopotany, nie wie, jak to będzie z rolą Albina, bo p. Hubiczek, inżynier, jest Czechem, i mówi po polsku tak, jak to tylko Czech potrafi. Ale burmistrzowa bynajmniej się tem nie zraża.

*

Rozpoczyna się próba. Hubiczek niemiłosiernie kaleczy monolog Albina, a tymczasem Dorcia poznaje swego znajomego w mniemanym aplikancie sędziego, pełniącym teraz rolę suflera. Intryga się rozwiązuje, gdy Hubiczek natrąca coś w rozmowie o swojej żonie. Więc żonaty! Burmistrzowa oburzoną jest na męża, że się o tem wcześnie nie dowiedział, ale wkrótce mija oburzenie, bo oto mniemany aplikant, właściciel ziemski, p. Czujko, oświadcza się o rękę Dorci.

Jest tu, jak widzimy, dość materyału do komicznych sytuacyi, a nawet niektóre postacie, mianowicie sędziego i Hubiczka, mają świeżą barwę na sobie i zalecają się wierną charakterystyką. Ale postać burmistrza jest już niedbale skreśloną, a jego żona i Smętnicka z córką Sydonią, są to już niesmaczne karykatury. Burmistrzowa jest główną osobą w sztuce od niej więc przedewszystkiem wymaga się aby była zajmującą, tymczasem jest to szablonowo skreślony typ ograniczonej, ordynaryjnej baby. Postać Sydonii starej panny, jest nie wiem po raz który odgrzewaną; wartoby żeby już raz nareszcie komedyopisarze zaniechali tego pastwienia się nad staropanieństwem, równie nieznośnego pod względem artystycznym, jak moralnym. Dorcia jest stereotypową pensyonarką, a aplikant, sufler, recte właściciel ziemski Czujko ma w sobie tyle samoistności, ile jej mieć może Deus ex machina.

Przytem rozwinięcie fabuły jest bardzo ułomne. Pierwszy akt wlecze się dość marudnie, ożywiony jedynie naturalną postacią sędziego. Jest to jakby tylko ekspozycya, jak na to krotochwilę zanadto wyczerpująca. Drugi akt na początku ożywia się, a zjawienie się Hubiczka i pierwsza jego rozmowa z burmistrzową są bez wątpienia najlepszą sceną w krotochwili. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie się można było zaśmiać. Potem następuje próba „Ślubów panieńskich“, trochę zabawna z początku, gdy Hubiczek zaczyna deklamować, ale potem przesadna i przeciągająca się bez końca aż do zupełnego znużenia widza.

Co się tyczy gry artystów, to wybornym sędzią był p. Zamojski, a może jeszcze lepszym Hubiczkiem p. Fiszer. W roli burmistrza występował p. Linkowski i pracował, jak mógł, twarzą i oczami.

J. T.

KRONIKA PARYSKA.

(Dokończenie).

Nie, zaiste, nie był to człowiek, o którym by „Ecce homo!“, jak to inni czynią, z bezwzględnem krzyknąć można było zaślepieniem. Według nas, więcej on miał szczęścia, niż zasługi. Ładnym piśmienniczym obdarzony talentem, nigdy na posługi żadnej poczciwej a uciemiężonej nie użył go sprawy. Sprzymierzeniec zawsze silnych i zwycięzców, nigdy w obronie żadnej społecznej nie stanął krzywdy. Egoista do „nec plus ultra“, nigdy swego krągłego „ja“ dla żadnej choćby najświętszej nie poświęcił zasady. Jeśli w ostatnich chwilach życia zaciągnął się niby pod sztandar republikanizmu, to uczynił to nie z przekonania, które, sam się z tem głośno odzywał, zawsze na przeciwnej pozostawało stronie, ale przez interes, dla łatwiejszego dopięcia osobistych swych ambitnych planów. Jednem słowem, personifikacya najmniej sympatycznej kasty społeczeństwa francuskiego „burżoazyi“ (bourgeoisie), „Thiers“ wszystkie jej zalety (a wiadomo jak ma ich mało) i wszystkie jej niedostatki do poczwórnej podnosił potęgi. Zupełnie jak ona, pewną dozę zdrowego rozsądku, pewne (słabe) pragnienia postępu, niezmiernem zamiłowaniem rutyny uniedołężniał w sobie. Jak ona, pewne popędy do wolności, olbrzymią trwogą o swą mizerną osóbkę, zupełnym brakiem cywilnej obezwładniał odwagi. Jak ona, na pierwszym planie stawiąc korzyść, na drugim lub trzecim dopiero słuszność i prawdę, nie bił tym ostatnim czołem, jak tylko wtedy chyba, gdy się one w niczem pierwszej nie sprzeciwiały wymaganiom. Jak ona „wolnomyśliciel“ (libre penseur) niby w teoryi, mlekiem wykarmiony „Wolterjanizmu,“ w praktyce do żadnego w tym kierunku nie zdolny kroku, „zachowawczość“ (Conservatisme) aż do uszanowania ultramontańskich posuwający ekscesów. Jak ona perorujący przeciwko armiom stałym, sołdateryi, i t. d., a w gruncie rzeczy rozkochany w militaryzmie, w zewnętrznych oznakach władzy, dla etykietki, dla galonów, dla błyszczącego munduru (choćby gwardyi narodowej) bez liku z rzeczy seryo, z rzeczy większej wagi, gotów zrobić koncesyi. Jak ona.. Moglibyśmy tak długo jeszcze bez końca wspólnych między nim a nią wykazywać punktów, lecz nie chcąc rozszerzać rzeczy nad miarę, na tych kilku poprzestaniem, w wymuszonej rozmiarami pracy wstrzemięźliwości.

Nie dziw zatem, iż tak do joty prawie francuskie uosabiając mieszczaństwo, nieboszczyk „Thiers“ absolutną jego miłość, absolutne jego posiadał zaufanie. I w tem to leży przyczyna, dla czego śmierć jego w tak stanowczej jak wybory na deputowanych przypadająca chwili, z republikańskiego oceniona stanowiska, istotnym dla partyi tej staje się kataklizmem.

Mieszczaństwo naturalnego swego widziało w nim naczelnika. Z postradaniem jego, nieufne względem Gambetty i innych przywódzców za gwałtownego, za skrajne reformy reprezentującego republikańskiego ruchu, może się zwrócić w stronę reakcyi i potężnym swym kontyngensem na jej korzyść zwycięztwa przeważyć szalę. Zrozumiała to partya umiarkowana, pracuje więc jak może, by na miejsce osierocone przez Thiersa jakiegoś godnego mu wytknąć sukcesora. Kandydatem na tę wysoką dostojność jest obecnie p. Grévy, były prezes byłej Izby deputowanych. Osobistość to, jak powiadają, bardzo zacna, ale bardzo mało znana, bardzo bierną tylko dotychczas odegrywająca rolę, bardzo mało zatem, według nas przynajmniej, dogodzenia wyborcom posiadająca warunków. Kto wie zresztą. Przyszłość wyświeci.

Ale spostrzegamy się po niewczasie, iż wbrew wypowiedzianemu z góry programatowi nie zajmywania się polityką, mimowolnie w liście niniejszym na jej pełne niebezpiecznych wirów wypłynęliśmy morze. Epidemia to, grasująca tu dziś straszliwie, wybaczcie więc łaskawi czytelnicy, żeśmy jej chwilowo zarazić się dali.

Opis pogrzebu słynnego nieboszczyka lepiej, nieprawdaż, do naszych, kronikarza światowego, przypada atrybucyi? Poświęćmy mu zatem słów parę.

Otrzymawszy wieść o śmierci swego poprzednika na prezydenckiem krześle, marszałek Mac Mahon zadecydował, że pogrzeb jego odbędzie się kosztem narodowym w kaplicy Pałacu Inwalidów (Hôtel des invalides). Lecz i tu polityka, ta nieszczęśliwa polityka, z której wybrnąć nam dziś nie sposób, paradzie tej stanęła na przeszkodzie. Wdowa bowiem po zmarłym nie zgodziła się na przyjęcie tej ze strony rządu usługi, jak chyba pod warunkiem, iż cała „lewica“ byłej Izby deputowanych, z 363 złożona członków, idąc za trumną, eskortować będzie do grobu zwłoki tego, który za życia powszechnie uznanym jej był naczelnikiem. Rząd marszałka Mac-Mahona nie mógł pozwolić na podobną, wprost przeciwko niemu wymierzoną manifestacyę, i pierwotną swą decyzyę, jakkolwiek nie bez pewnej konfuzyi, z wszelką jednak wycofał przyzwoitością.

Pogrzeb więc odbył się kosztem familii, jak pogrzeb prywatnego człowieka, w parafii zmarłego, w Naj. Panny Loretańskiej kościele. Ponieważ, jakeśmy rzekli wyżej, nieboszczyk olbrzymią po sobie zostawił fortunę, ponieważ wdowa hojnie na wszelkie łożyła wydatki, pogrzeb ten pod względem przepychu w niczem prawdopodobnie oficyalnej nie ustąpił ceremonii. Partya republikańska temci raźniej za pretekst do szumnej użyła go manifestacyi. Tłumy ludu wysypały się na ulicę. Czarną krepą przewiązane trójkolorowe chorągwie, z wszystkich prawie wychyliły się okien. Trumna i dźwigający ją wóz żałobny znikały dosłownie pod stosami wieńców pamiątkowych rozmaitymi ozdobionych napisami: „Thiers'owi Ojczyzna w żałobie!“, „Thiersowi miasto Paryż!“, „Thiersowi młodzież Uniwersytecka!“ itd. itd. bez końca. Orszak ciągnął powoli od kościoła Najśw. Panny Loretańskiej przez ulicę Lepeletier, przez Wielkie bulwary, ku placowi Bastylii, w stronę cmentarza Père Lachaise, gdzie zwłoki w familijnym złożone zostały grobowcu. Jako kawalerowi wielkiej wstęgi orderu Legii, załoga wojskowa, 300 czy 400 ludzi różnej broni, należne oddawała honory. Za trumną szły deputacye od wszystkich prawie większych miast Francyi. Mowę pogrzebową miał naprzód Jules Simon, były minister spraw wewnętrznych i osobisty zmarłego przyjaciel, potem wspomniany już p. Grévy, domniemany polityki jego sukcesor. Mowy te żadną wyrazistszą nie odznaczyły się cechą. Skrępowane cenzurą, były zwykłemi tego rodzaju nadgrobowymi panegirykami. Szkoda, iż deszcz ulewny, nieprzestający od samego rana paryskich zakrapiać ulic, przeszkodził nieco całej możliwej wspaniałości pochodu. Pod obmokłymi parasolami, w zabłoconych karocach nikł przepych akademickich, senatorskich i innych mundurów. Pomimo tego słyszeliśmy mówiących, iż od czasu pogrzebu Berengera, zmarłego jeśli się nie mylim w 1855 czy 1856 roku i pochowanego kosztem narodu, Paryż nie widział równie wspaniałej żałobnej ceremonii. Rząd obawiał się widocznie jakichś buntowniczych krzyków, jakichś rewolucyjnych zamieszek, zastępy więc policyantów na wszystkich rogach ulic trzymały się na pogotowiu. Dzięki jednak Bogu obeszło się bez tego wszystkiego i po skończonej ceremonii tłum rozszedł się po domach cicho i spokojnie. Trzeba oddać tę sprawiedliwość Francuzom, iż od niejakiego czasu „dolali wody do swego wina“ (ils ont mis de l'eau dans leur vin), jak ich narodowe powiada przysłowie, i że nie tak raźnie jak dawniej do ulicznych rwą się rozruchów.

Tak skończyła jedna z głośniejszych jeśli nie z bardziej zasłużonych sław Francyi. Absolutną powodowani słusznością nie z uprzedzenia a silnemu przekonaniu gwoli, nie mogliśmy ujemnego naszego o niej nie wypowiedzieć zdania. To nie przeszkadza, iż pojmujemy troskę partyi, która w zmarłym główną swą postradała podporę i że trosce tej całem współczujemy sercem. Jako człowiek, „Thiers“ może być sądzonym i sądzonym surowie, jako sztandar, pewne a według nas słuszne opinii publicznej przedstawiający prądy, na głębokie zasługuje uczczenie. Bądź co bądź, kto taką za życia odegrał rolę, śmierć czyja takie ogólne wywiera wrażenie, ten nie mógł być pierwszym lepszym z rzędu, ten, ja-

kiekolwiek miał wady i niedostatki, musiał być osobistością nad zwykłą skalę.

I wątpimy, by lukę zostającą po nim prędko a godnie nadchodzące wypełniło pokolenie.

A my też, czem resztę wypełnimy listu?

Jakeśmy rzekli wyżej, wielkie przewroty polityczne niesłychaną w świecie literackim i artystycznym spowodowują stagnacyę. Brak nowości zupełny. Cisza i pustki. Cisza i pustki względne zapewne, bo jużci tak olbrzymie centrum, jak Paryż, zawsze coś produkuje i produkować musi koniecznie, lecz nic takiego, coby was obcych zająć mogło z daleka.

W liku ostatnich księgarskich publikacyi „Miłostki Filipa" (Les amours de Philippe) romans „Feuillet'a", woda z cukrem. Napisane to nie bez talentu zapewne, lecz takie ckliwe, tak bezcelowe, tak oklepane treścią, tak klejkowate formą, iż pożal się Boże czasu wyłożonego na przeczytanie tego nowego produktu buduarowej literatury.

Tłumaczenie powieści rosyjskiego pisarza „Gończarowa" pod tytułem „Obłomow", dokonane przez „pana Karola Deulin" i poświęcone rodakowi naszemu, młodemu artyście, „Cetnerowi". To co innego. Co za żywy, jak wierny, jak misternie wykonany obrazek moskiewskiego żywota. Jest tam typ służącego niewolnika „Zachara", który zasługuje, by go obok „Walterskot'owskiego" postawić „Kaleb'a" (Lucya z Lamermoor'a), i któryby wcale, według nas, na tem zaszczytnem nie stracił porównaniu. Nic komiczniejszego i nic bardziej ujmującego zarazem. Powieść cała aż nadto i polskiego wartą by była tłumaczenia. Dużo w niej jest rysów satyrycznych, któreby i u nas i do naszych słabości istotne znaleść mogły zastosowanie. Gnuśność naprzykład, wstręt do czynnego życia, kontemplacyjne usposobienia, to nie tylko moskiewska, to wogóle słowiańska choroba. A powieść, o której mowa, jasną, ścisłą dobitną daje jej diagnozę.

Nabytek więc byłby to dla literatury naszej wielce korzystny i całem go jej sercem życzymy.

Laury „pana Wiktora Tissot", autora „Podróży po krainie Miliardów" (Voyage au pays des miliards), znęciły naśladowców i z pod różnych piór różne tego rodzaju piśmiennictwa wywołały próby. Niedawno anonym jakiś, mieniący się „exoficerem francuskim", wydał dziełko pod tytułem: „Podróż po krainie rubli (Voyage au pays des roubles) Autor przemknął widać przez Rosyę pobieżnie, pobieżnie też wyniesione z niej zanotowuje wrażenia. Rzecz napisana bez żadnej krytyki, pełna grubych błędów. Wszystko w niej pomięszane jak groch z kapustą, i obserwacye wojskowe i spostrzeżenia socyalne i literackie nawet i *lingwistyczne* (oh, jakie!) uwagi. Pasya rozprawiania o rzeczach, o których nie ma się najmniejszego wyobrażenia, to jedna z cechowych słabostek tutejszych pseudo-autorów. Zdałoby się, iż bez tego można by żyć tak spokojnie. Gdzietam, autor był raz w Moskwie, dwa razy w Petersburgu, jak papuga na pamięć kilka przekręconych, moskiewskich nauczył się frazesów. Tego dosyć, już czuje się w obowiązku pozowania przed rodakami swymi na znawcę tego języka, już w etymologiczne o nim puszcza się wywody.

A że ktoś tam bliżej z rzeczą obznajomiony wzruszy ramionami z litością i uśmiechnie się po cichu, o to mu mniejsza. To sprzedaży książki nie przeszkodzi. Nie masz niebezpieczeństwa. Ledwie się na świat zjawiła, już oto 3ciej czy 4tej doczekuje się edycyi.

Nakładem Calman Levy wyszedł pośmiertny tom „Georges Sand" pod tytułem: „Ostatnie kartki" (Les dernieres pages). Jestto zbiór artykułów różnej treści literackich i politycznych, poczęści zupełnie jeszcze nieznanych, poczęści już publikowanych w różnych pismach peryodycznych, lecz przedawnionych i ulegiych zapomnieniu. Niby okruchy brylantu stosowną wydawcy ogarnięte dłonią, nie przysporzą zapewne nic do sławy zmarłej autorki, lecz szacowną zawsze po niej są pamiątką. Kto posiada w swej bibliotece komplet dzieł „Georges Sand, ten i tomik, o którym mowa, nabyć będzie musiał koniecznie. Obrachowywał na to wydawca i obrachowywał nie bez racyi.

Wyszła także pośmiertna powieść znanego artysty malarza Eugeniusza Fromentin, o którym w zeszłym roku nekrologiczne posłaliśmy wam wspomnienie. Tytuł „Dominique". Rzecz bardzo ładnym, bardzo poprawnym, bardzo akademickim napisana stylem, lecz dość nudna treścią, czytać się nie daje jak z trudem i na względne tylko zasługuje uznanie. Laury pędzlem zdobyte nie zadowalniają, jak widać, malarzy tutejszych, gdyż ci kuszą się zarabiać na inne piórem. Pominąwszy wyżej wspomnianego „Fromentina, możnaby zacytować kilka innych jeszcze dwie na raz piękne kultywujących sztuki. Tak „Juliusz Breton", słynny pejzażysta, śliczne jednocześnie pisuje wiersze, tak Vibert, dowcipny malarz „rodzajowy" (peintre de genre), bardzo zgrabne układa komedyjki, z których już kilka z ładnem powodzeniem w różnych tutejszych pojawiło się teatrach.

A teatra! Pora by już może i w ich zaglądnąć stronę. Z jedną jedyną tylko wartą wspomnienia spotkamy się w niej nowością.

„Piotr Gendron" dramat ze współkowej pp. Lafontaine i Richard wynikły kolaboracyi, niedawno na scenie teatru „Gymnase" z ładnem odegranym został powodzeniem. Obaj autorowie od dawna już jako artyści dramatyczni (jeden w „Odeonie" drugi w „komedyi francuskiej") tutejszej znani byli publiczności. Przez dość długi czas innych wykonywając pomysły, zdecydowali się własne swoje postawić na scenie. Eksperyment udał się im wybornie i zapewne do dalszej w tym kierunku zachęci ich pracy. Dramat, o którym mowa, z rzemieślniczego zaczerpnięty żywota, ludowe przedstawiający sceny, razi nieco klientelę teatru „Gymnase" do eleganckich salonowych sztuczek przywykłą, aktorowie (aktorki zwłaszcza) tamecznej trupy, zazwyczaj w wspaniałych, w kosztownych widywane toaletach, dziwnie się oku pod niebieskiemi, łatanemi i pyłem pracy pokrytemi przedstawiają bluzami. Pani Fromentin (aktorka główną odegrywająca rolę) zapomina czasem, iż nie długą, ciężką jedwabną lub aksamitną suknię, ale krótką tylko płócienkową ma na sobie spodnicę i fałdy tej ostatniej z nieswojską wyrobnicom poprawia gracyą, pp. Sandrol i Pujol przy spotkaniu, kłaniając się sobie nawzajem, zaokrąglają ramię, jak gdyby nie pomięty kaszkiet, ale elegancki, lśniący z Pinaud'owskiej fabryki pochodzący, uchylali nad czołem kapelusz. Dziwić by się można zaiste dla czego autorowie sztuki, mogąc przedstawić ją gdzieindziej, w Porte St. Martin, w l'Ambigu Comique naprzykład na tak niewłaściwej rodzajowi utworu, jak ta Gymnase, przedstawiają ją scenie. Ale na co bawić się w szykany? Pomimo niechętnego zrazu usposobienia miejscowej publiczności, pomimo niektórych usterek w grze miejscowych artystów, sztuka nietylko że się utrzymała, ale powiodła się zupełnie, ale huczne codzień wywołuje oklaski. Jeden więcej dowód wewnętrznej jej wartości. List obecny za długi, za przepełniony, i pobieżnego nawet opisania jej treści pomieścić już nie zdoła. Jeśli stanie nam na to miejsca i czasu, jeśli tych na swą korzyść inne nadejść mające nie skonfiskują nowości, opisanie to w jednej z przyszłych poślemy wam kronice.

„Pułk Szampański" (Le regiment de Champagne) quasi-historyczny z czasów Ludwika XIV. dramat pana Claretie w dawnym teatrze lirycznym z wielkim przedstawiony przepychem, liczne zamiłowanych w tego rodzaju hałaśliwych widowiskach, Paryżan, ściąga doń tłumy. Hałaśliwych widowiskach, powiedziałem nie bez racyi, sztuka albowiem, o której mowa, ile ma aktów, tyle rożnych niby to przedstawia batalii.

Zwijają się po scenie w rozmaite mundury przyodziani figuranci, niesłychaną ilość, strzelając niby do siebie, spalają prochu, huk, stuk, wrzawa, tego dosyć dla Paryżanina, militarne usposobienia którego zupełną w tem znajdują satysfakcyę.

Wartość literacka utworu żadna. Urywkowymi, siekanymi, napisany frazesami, fałszywy pod względem historycznej prawdy charakterów, wątpimy, by jakąkolwiek miał do niej pretensyę, obrachowany na afekt, na ściągnięcie mieszczańskich tłumów, do rodzaju cyrkowych należy widowisk.

Inne teatra do zimowego sposobiąc się sezonu, przeżuwaniem starych żyją dotąd rzeczy. A i sezon ten nic, zda się, bardzo ponętnego nie przyniesie nam w podarku. Żaden z wielkich fabrykantów, dostarczycieli dramaturgii tutejszej, ani Dumas, ani Sardou, ani nawet Augier, żadnej nowej nie zapowiadają nam produkcyi. Panowie ci zachowują siły swe na czas wystawy, bodajby przyszła do skutku, miękkiemu tymczasem oddając się „far niente" i słodyczom familijnego poświęcając się żywota. Dumas córkę za mąż wydaje, Sardou. znajomych na chrzciny trzeciego sprasza sukcesora. Publiczność „en attendant" zmuszoną będzie zadawalniać się drugorzędnym towarem, fabrykacyami pośledniej wartości. W liku tych zapowiadają nam komedyę Teodora Barrière „Panny z Montfermeil" (Les demoiselles de Montfermeil) w „Palais-Royal'u," operetkę Strauss'a „Cyganka" (La Tzigane) w „Renaissance." Talent pierwszego, Teodora Barrière'a, w braku innych zalet, szczerą przynajmniej, niekłamaną odznacza się wesołością, o drugim (o Straussie) mówić wam nie potrzebujemy, aż nadto bowiem z wiedeńskiej znać go musicie reputacyi.

Jednem słowem, rzadko kiedy zima, zima paryska, z uboższym kontyngensem rozrywek, z lżejszym pakunkiem jawiła się nowości. Nie przypisywać tego niczemu innemu, jak tylko tej ciągle nas prześladującej polityce, która horyzont przyszłości czarnemi zaciąga chmurami.

List niniejszy rozpoczęty nekrologiem, nekrologiem także zamknąć nam wypada. Dzienniki donoszą o śmierci p. Leverrier, dyrektora tutejszego Obserwatoryum astronomicznego i jednej z głośniejszych uczonego świata znakomitości.

Miał to być człowiek nader przykry w prywatnem pożyciu, zawistny względem innych pra-

cowników na temże, co i on polu, niesłuszny, srogi względem podwładnej mu uczącej się młodzieży. Powiadają nawet, iż był przyczyną sa mobójstwa jednego z tych ostatnich. Niepospolita wiedza, wysokie na polu naukowem zasługi, usterkom tym jeśli nie zupełną absolucyę, to przynajmniej względne wyjednywały pobłażanie. Astronomia zawdzięcza mu odkrycie kilku planet, obserwatoryum paryskie świetną swą obecną sytuacyę. Niech mu to i do miłosierdzia Bożego niejakim posłuży tytułem.

Ot i list skończony i nie pozostaje nam nic więcej, jak tylko niskim zapieczętować go ukłonem.

Do przyszłego

J. S. Chamiec.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 13. października.

Rozmyślania po wystawie.

I tak skończyła się wystawa, skończyły się codzienne wycieczki na plac Jabłonowskich, umilkła na wieki trąba, dwa razy na dzień obwieszczająca chwałę Lwowa i jego wystawy. Jesteśmy jak na drugi dzień po ostatnim balu zapustnym w ranek popielcowy, pełni jeszcze świeżych wrażeń z tylko co minionej świetnej przeszłości, ale z szarą perspektywą przed sobą, i skłonni do rozmyślań o znikomości ludzkich rzeczy.

W istocie nic tak nie skłania do podobnych rozmyślań, jak widok placu Jabłonowskich w parę dni po zamknięciu wystawy. Jakby na znak różczki czarodziejskiej znikł świąteczny, uroczysty charakter miejsca. Wprawdzie sterczą jeszcze budynki, ale już z ważniejszych ozdób poobdzierane. Na trawnikach wśród kląbów kwiatowych, pasą się konie, ale nie owe ogniste rumaki, którym z taką przyjemnością przypatrywaliśmy się niedawno, lecz biedne chude koniska, które tu przybyły z podwodami do zabierania różnych ciężarów, a którym pozwolono trochę popaść się na placu. Publiczność wchodząca i wychodząca przez kołowrotek składa się w znacznej części z aresztantów, którzy dopiero teraz mogli korzystać z wystawy, poznając ją zresztą bardziej plecami niż wzrokiem. Zamiast długiego szeregu karet i fiakrów z ładnymi buziakami z prowincyi, ciągną się teraz zajazdową drogą od wystawy ciężkie wozy z ciężkiemi pakami. O jerum jerum, jerum, qualis mutatio rerum!

Lecz dość tych lamentów, potrzeba jeszcze przypomnieć wypadki z ostatniego dnia wystawy. Więc było zamknięcie wystawy, rozdawanie nagród, i były mowy. Przyjemne to robiło wrażenie, że wszystkie warstwy i stany, zsolidaryzowawszy się w pracy, stawały razem po zasłużoną nagrodę, którą w imieniu kraju rozdawał im prezes wystawy. Słowa jego, przytem powiedziane, były krótkie, ale tchnące wielką prostotą, serdecznością i zdrowym sądem. Jużto jeżeli hr. Włod. Dzieduszycki i przed wystawą był otoczony powszechnym szacunkiem kraju, to wystawa otoczyła go powszechną miłością, zrobiła go najpopularniejszą osobistością w kraju, jedyną, przed którą wszystkie stronnictwa i koterye uchylają czoło. W jakiż sposób doszedł do tego? (Niech odpowiedź na to będzie informacyą dla naszych mężów stanu). W sposób bardzo łatwy i bardzo trudny. Bardzo łatwy, bo w wielkim lub małym zakresie dostępny dla każdego; bardzo widać trudny, bo go prawie nikt nie używa. Oto bezinteresowną pracą dla kraju, pracą nie mającą na widoku ani osobistych zysków pieniężnych, ani gwiazd, orderów i tytułów z Wiednia, nic prócz wewnętrznego zadowolenia ze spełnienia dobrego dzieła. Za szczerą miłość kraju, kraj mu płaci swoją miłością.

Jednym z objawów tej powszechnej miłości był uroczysty pochód z pochodniami, wyprawiony na cześć jego wieczorem w dniu zamknięcia wystawy. Kilkutysięczny orszak ludzi, wśród którego wiła się długa wstęga pochodni, rozwieszająca łunę nad miastem, przedstawiał imponujący widok. Pochodowi towarzyszyła muzyka — więcej, co prawda, piskliwa, jak huczna i zgodna — no, ale swoja i obiecująca być kiedyś dobrą. Co się zaś tyczy pochodni, to jeżeli kiedy były one żywym symbolem uczuć tych, co je nieśli, to pewno tym razem.

* * *

Bardzo wielu wystawców czuje się pokrzywdzonymi nie otrzymawszy medali, ani żadnych wyszczególnień. Pomijając to, że bardzo wielu pretensye mogą być zupełnie nieuzasadnione, nie można zaprzeczyć, że mogą się znaleść przykłady słusznego żalu — wszakże nie należy z tego względu robić zarzutu komitetowi wystawy, który ogromne zasługi położył, i który był obarczony różnorodnemi pracami. Wszystko trzeba było stworzyć, zaimprowizować. Strony dodatnie wystawy są stokroć większe od ujemnych, a bez tych ostatnich nigdy obejść się nie może.

Co do nas, to uważamy, iż p. Dydacki, fabrykant zapałek, za małe otrzymał odszczególnienie. Zapałki p. Dydackiego na każdej w świecie wystawie pierwszą nagrodę otrzymać powinny. Wprawdzie we Lwowie p. Dydacki ma dzielnego współzawodnika w panu Erlichu i nawet w prowincjonalnych fabrykantach, z tem wszystkiem jednak zapałki p. Dydackiego, są dwa razy tańsze a trzy razy lepsze od zapałek Pollaka z Wiednia, które to ostatnie na całym świecie są znane i cenione. P. Dydacki, a raczej Towarzystwo przemysłowe, najniedołężniej sobie postępuje ze sprzedażą zapałek, nie tylko że nie wysyła ich na rynki europejskie i zaoceanowe, ale nawet z kraju nie umie wyrugować nierównie gorszego towaru zagranicznego. Reklamy, co najwięcej reklamy.

Czasami komitet zanadto szczodre wydzielał medale. Tak na przykład pewnemu księgarzowi dano medal *za znakomite usługi położone w ustawianiu przedmiotów szkolnych na wystawie!* Jeżeli dobrze słyszeliśmy, tak brzmiało orzeczenie komitetu.

W każdym razie, powtarzamy, pomimo to i owo komitet wystawy dobrze się zasłużył krajowi.

* * *

Prawnicy polscy podpisują następujący adres na uczczenie 50 letniego jubileuszu Józefa Supińskiego.

„CZCIGODNY JUBILACIE!

„Przed pięćdziesięciu laty poczynałeś pracę na pokrewnem naszemu polu wiedzy, które wówczas leżało prawie odłogiem. Nieprzejrzany obszar badania, ile nietkniętych obiecywał bogactw, tyle ciężkiego domagał się znoju. Ale Tyś się nie uląkł trudu, sędziwy Jubilacie, bo nie wawrzynów własnej sławy patrzyłeś, lecz dobra swojego kraju i narodu, a sterem i siłą Twej pracy była ta sama święta i gorąca miłość, co nieśmiertelność daje narodowi.

„W niej też nam, słabym uczestnikom pracy na rozległem polu nauk i umiejętności społecznych, zapożyczyć się dzisiaj, bo jeśli powołani zaszczytnem pokrewieństwem zawodów naszych, wdzięcznością mamy płacić pracę życia Twego, to niechaj wdzięczność nasza tam bierze swą siłę, gdzie ją czerpała zasługa i niech nam przewodzi nadzieja, że chociaż skromny nasz wyraz uznania, nie na wagę słów go przyjmiesz, lecz na wagę uczuć naszych.

„W nauce, której półwiekową poświęciłeś pracę, dałeś nam: *Szkołę polską gospodarstwa społecznego*, — a w niej całą nagrodę mozolnych swoich badań i wszystkie życzenia swoje w jednej położyłeś nadziei, w nadziei: że myśl jej twórcy trafi do przekonania polskich czytelników.

„Prawdy, na których spoczęła pomnikowa „Szkoła“ twoja, skupiły się wszystkie w jednej naczelnej prawdzie ludzkiego świata: w pracy i wiedzy, a przy tej prawdzie stanąwszy, znowuż jednego tylko narodowi swemu życzyłeś: by po epoce „poezyi i powieści“ przeszedł w powszedni, ale płodny i zbawienny okres wiedzy i pracy.

„Czas, czas wielki, byśmy pomyśleli o tem, bez czego już dziś istnieć nie można; — czas ostatni, bo wkrótce będzie zapóźno“.

„Kto wie, ile gorącej miłości kryło się w tych cierpkich słowach, ten zrozumie, ile dzisiaj one Ci niosą pociechy; zrozumie, że chcąc godnie odpowiedzieć dziś zadaniu swemu, nie możemy uczynić tego lepiej, jak ich powtórzeniem.

„Słowa twoje są nam dzisiaj przestrogą, a kiedyś będą błogosławieństwem narodu. Poczęły one nową i wielką epokę nie w samej tylko nauce, ale i w życiu naszem. Nauka, dla której praca Twoja stała się węgielnym kamieniem, podąża dopiero za doświadczeniem i pracą, ale życie, wyprzedzając naukę, tą samą drogą przyrodzonego rozwoju, jaką odsłoniłeś w swej: *Ogólnej myśli fizyologii wszechświata*, wchodzi już coraz świadomiej w okres, którego tak gorąco życzyłeś narodowi swemu.

„Dwie potęgi Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego: *wiedza i praca*, stają się hasłem dni naszych; coraz ich więcej w krwi naszej i coraz więcej w atmosferze, którą oddechamy.

„Dożyłeś więc, sędziwy nasz Jubilacie, wielkiej pociechy: oto myśli Twoje stają się szkołą narodu Twego w czynie, przechodząc siłą przyrodzonego prawa w krew jego i w życie.

„Dla tego chwila ta, w której uczestniczymy, jest dwakroć dla nas uroczystą, bo naród, czcząc zasługę tego, który na rozdrożu dwu epok, wołał go z drogi walk i gorących dążeń do twardej pracy codziennego życia, czci wraz i najwyższą ideę swojego czasu, a w czci tej staje się już narodem pracy, kierowanej wiedzą, i wiedzy opartej na pracy.

„W pierwszej godzinie tej prawdziwie zbawczej epoki Tyś pierwszy podał jej hasło, więc Cię ta epoka czci jako tego, który ją zrozumiał i zapowiedział; — jednostki uczyłeś żyć dla ogółu, a ogół przez jednostki, więc ogół ten jedno dzisiaj ożywia uczucie wdzięczności za pracę dla dobra jego podjętą; — nauka Twoja oparła pojawy i czyny ludzkie o przedwieczne prawa wszechbytu, więc trwała jak one, na za-

wsze będzie narodowi skarbnicą zdrowego ziarna wiedzy.

„A nad wszystkie zasługi półwiekowej pracy jaśnieje ta wielka miłość, co wszystko dla narodu, a nic — nic prócz jednego nie chciała dla siebie: widzieć swój naród szczęśliwym w pracy i potężnym w wiedzy.

„Jeśli nam wolno dzisiaj powiedzieć, że się w swej *błogiej nadziei* nie zawiódł, a ostatnich lat dziesiątek da świadectwo prawdzie słów naszych, tośmy tej uroczystej godziny życia Twego próżnem nie zmącili słowem. Wyraz czci naszej był wówczas echem tylko własnych Twoich pragnień, wróconem z polskiego serca temu, który naród swój ukochał nad wszystko.

„Przyjm go więc tak, jak go w tej uroczystej chwili składamy, gorąco i szczerze, w tem przekonaniu, że nad uczucie czci i miłości, jakiemi na zawsze zapisałeś swe imię w sercach swoich ziomków, ani droższej, ani godniejszej twej pracy wdzięczności nie mamy.“

Arkusze z podpisami, winny być nadesłane do redakcyi „Prawnika“ we Lwowie przed 20 października.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Bronikowski A.* Olgierd i Olga czyli Polska w jedenastym wieku. Powieść historyczna. 2 tomy. 8ka str. 315. 335. Lwów 1878 2·80. ct.

— *Dzierzkowski J.* Król Dziadów. Powieść. Wyd. drugie. 8ka str. 167. Lwów 1878. 1·— złr.

— *Dzierzkowski J.* Próżniak. Powieść. Wyd. drugie. 8ka str. od 249 do 376. Lwów 1878 80. ct.

— *Dzierzkowski J.* Rodzina w salonie. Powieść. Wydanie drugie. 8ka str. 132. Lwów 1878 80 ct.

— *Haliczanin.* Kalendarz powszechny i nowo-rocznik humorystyczny Szczutka na rok 1878. Lwów 1877. 50 ct.

— *Jana Lama.* Pamiątka z wystawy. 8ka. Lwów 1877. 50 ct.

— *Lwowianin.* Kalendarz powszechny na rok pański 1878. 50 ct.

— *Renta trzydziestoletnia* zastosowana do emerytury. 8ka str. 32 Kraków, 1877 25 ct.

— *Rok 1878.* kalendarz powszechny gospodarski i informacyjny, przez autora dawniej Haliczanina 50 ct.

— *Wodzicki hr. K.* Zapiski ornitologiczne I. Bocian, wydanie drugie poprawne, 8ka str. 91 Kraków, 1878 75 ct.

— *Wodzicki hr. K.* Zapiski ornitologiczne II. Jaskółka 8ka str. 193, Kraków 1878. 1.50.

— *Strażnik narodowy.* Ostrożnie z ogniem. Uwag kilka nad obecną sytuacyą w Europie i nad naszem wobec tej sytuacyi stanowiskiem 8ka str. 25 Lwów, 1877 20 ct.

— *Ziemba Dr. T. Z.* Psychologia. 8ka str. 196 Kraków, 1877 1.25.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Nowy czas.* „Wydajemy pismo nasze jako obywatele państwa austryackiego, w mieście austryackiem i dla austryackich czytelników“ — taki program sobie wypisało pismo powyżej wyrażone, dodając jeszcze, że będzie w sprawach religijnych *tolerować* wszystkie wyznania. *Nowy czas* bierze sobie za zadanie robić konkurencyę *Gwiazdce Cieszyńskiej*, która jest wydawaną w mieście polskiem i dla polskich czytelników, a której zasługi w rozbudzeniu życia narodowego na Szląsku, są tak doniosłe, że gdyby nie te zasługi „Gwiazdki Cieszyńskiej“, „Nowy czas“ nie miałby potrzeby być drukowanym po polsku. Przy tej sposobności zwracamy uwagę na *Gwiazdkę Cieszyńską* i polecamy ją jako jedno z najlepszych pism ludowych. Prenumerata całoroczna wynosi 4·20 ct.

— *Marya* Malczewskiego wyjdzie wkrótce w nowem wydaniu w Bibliotece Mrówki.

— Nakładem Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika wyszła z druku rozprawa Dra Juliana Ochorowicza *O zjawiskach zdwojenia w życiu duchowem człowieka.*

— W Krakowie zaczął wychodzić kwartalnik polityczny pod redakcyą Juliana Kominkowskiego pt. *Przegląd sprawy Wschodniej.*

— Thiers pozostawił obszerne pamiętniki, które jednak nie prędko ukażą się na widok publiczny, gdyż autor zastrzegł w testamencie, że dopiero po śmierci osób w pamiętnikach wymienionych mają być oddane do druku.

— Warszawa ofiarowała Matejce wieniec srebrny.

— *Bluszcz,* pismo tygodniowe i illustrowane dla kobiet, wychodzi w Warszawie pod redakcyą Maryi Ilnickiej. Nr. 40 zawiera: Gospodarstwo kobiece przez Maryę Ilnicką — Trzy zlecenia, wiersz — Wyśniona, fantazya prozą niby powieść przez T. T. Jeża — Kobiety i koniec świata przez Edwarda Lubowskiego — Nowiny paryzkie — Filozofia życia z pism Tomasza Carlyle'a — Kilka słów o wózkach dla dzieci przez Dra Gustawa Fritsche — Karolina Vaulvo, powieść — Wzory ubiorów i robót — Tablice krojów. (Prenumerata Bluszczu we Lwowie 3 złr. z przesyłką 3·60 ct.)

— Nakładem Księgarni J. K. Żupańskiego wyszła w Poznaniu *Mowa żałobna* na cześć śp. Ks. Jana Koźmiana, miana na nabożeństwie żałobnem w kościele katedralnym poznańskim dnia 29 września b. roku przez ks. Edw. Likowskiego.

— *Towarzysza pilnych dzieci* wyszedł Nr. 28 i zawiera: Modlitwa za mamę, wiersz Wł. Bełzy. Dwie siostry, powiastka przez Józefa z Mazowsza. Cisza nocna, wiersz G. Kolna. Lis Arystomena. Babunia. Chleba naszego powszednego daj nam dzisiaj. Chciwość osła przez Al. Fredrę. Nienasycony Franio. Złota pszczółka, wiersz T. Nowosielskiego. Szarada. Od redakcyi. (Prenumerata Towarzysza we Lwowie 1 złr. z przesyłką 1·20)

— *Pamiętnik wystawy krajowej* wyszedł w osobnej książce.

— Nowe dzieło Siemiradzkiego ujrzy Warszawa niebawem na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Jest to nie wielkich rozmiarów obrazek, przedstawiający krajobraz z Sorrento, z widokiem na zatokę Neapolitańską. Blask słoneczny oblewa cudny ten widok, a kto widział słońce na płótnach Siemiradzkiego, ten łatwo zda sobie sprawę, jak uroczo przedstawia się ten krajobraz jego pędzla. Nie brak tu i akcyi: matka i parę dziatek igrających ze sobą. Właścicielem dzieła tego jest profesor uniwersytetu warszawskiego p. Budziński.

— Warszawa 1. października. W dniu onegdajszym wieczorem w sali resursy kupieckiej odbył się obiad na cześć Matejki wydany. Osób zgromadziło się 273, to jest tyle, ile sala resursy pomieścić ich mogła.

Pierwszy toast wniósł p. Wojciech Gerson w imieniu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, zaznaczając, że zamiłowanie sztuki rozwija się coraz bardziej w społeczeństwie naszem i że w ślad za tem idzie cześć, jaką mistrze tej sztuki, na których czele stoi Matejko, odbierają u nas.

W następnem przemówieniu p. Struve, profesor cesarsko-warszawskiego uniwersytetu, określił wymownie stanowisko tegoczesnego malarstwa, głównie historycznego i cechy, jakie mistrzów charakteryzują, dowodząc, że Matejko wszystkie je na raz jednoczy i wyjaśniając tym sposobem znakomite stanowisko, jakie twórca Kazania Skargi w hierarchii sztuki europejskiej zajmuje.

Po wygłoszeniu kilku serdecznych słów przez p. Wincentego Majewskiego, pan Rapacki odczytał piękny wiersz swojego utworu. P. Kraushaar również witał Matejkę przemówieniem.

Pan profesor Lewestam odczytał następnie kilka telegramów do Matejki nadesłanych i p. Karol Kucz, wydawca „Kuryera Codziennego,“ wypowiedział kilka serdecznych słów na cześć mistrza w rymowanej improwizacyi.

Nareszcie p. Kazimierz Łuniewski wysnuł pogląd na ogólne znaczenie malarstwa historycznego.

Matejko dziękując za te wszystkie przemówienia, wniósł toast dziękczynny, wynurzając zarazem nadzieję, że malarstwo u nas krocząc ciągle na drodze postępu, utrzyma i rozprzestrzeni sławę, jaką już dziś nabyło.

— J. Matejko i H. Siemiradzki już opuścili Warszawę. Pierwszy udał się na pole bitwy pod Grunwaldem, dla porobienia ostatecznych studyów do obrazu wystawiającego tę bitwę; drugi wyjechał do Rzymu, miejsca stałego swojego pobytu.

— Kometa. Astronom Coggia w Marsylii dnia 15. bm. odkrył na rozgraniczeniu znaków wielkiego Niedźwiedzia i Rysia blado-świetlanego kometę. Z powodu pochmurnego nieba dalsze obserwacye w tych dniach były niepodobne.

Statystyka.

— W Austryi według urzędowego wykazu, obecnie opublikowanego, ogółem wychodzi 876 pism peryodycznych. W tej liczbie 53 w języku polskim — 116 węgierskim — 591 niemieckim — 60 włoskim — 26 w czeskim — 12 żydowskim — 2 francuskim — 2 greckim. Reszta zaś przypada na różne inne języki europejskie.

Wynalazki.

— W niektórych miastach angielskich znużonych wyzyskiwaniem stowarzyszeń gazowych, objawia się ruch za wprowadzeniem oświetlenia ulic olejem skalnym. Między innemi rada miejska w Romford postanowiła od 1. stycznia r. przyszłego, przerobić latarnie gazowe na petrolowe. Donoszą ztamtąd że 20 innych miast czeka niecierpliwie na rezultat prób osiągnąć się ztąd mających.

Podróże.

— Głośny podróżnik, Stanley, przeszedł całą Afrykę w szerz od wschodniego wybrzeża do zachodniego i dnia 8go sierpnia, jak donosi *Daily Telegraph,* stanął w Emborne.

Nekrologia.

† *Stanisław Wardzyński,* utalentowany artysta sceny krakowskiej, umarł w tych dniach po długiej, bo trzy lata trwającej chorobie, na wycieńczenie sił. Był on jednem z tych rzadkich i świetnych zjawisk, które, jak meteory olśniewają blaskiem swoim – i po zgaśnięciu długo jeszcze pozostawiają na niebie ślad swojego przebiegu. Ś. p. Wardzyński, po skończeniu szkoły głównej warszawskiej, pierwsze studya artystyczne odbywał pod okiem takiego mistrza jak Jan Królikowski, którego też wkrótce został ulubionym uczniem. Z mistrzem swym odbył wycieczkę artystyczną do Krakowa i grał tam wraz z Królikowskim w „Zbójcach“ rolę Karola. Na naszej scenie debiutował z wielkiem powodzeniem w 1872 r. w roli Ferdynanda z Intrygi Szyllerowskiej. Poczem udał się wkrótce do Krakowa, gdzie z każdym dniem rozwijał się i potężniał jego niepospolity talent, aż wreszcie ciężka choroba — jak krzepką dębinę, powaliła go bezwładnego na łoże śmiertelne. Trzy lata konał — ze świadomością swego stanu i z wiedzą o bezskuteczności wszelkich środków lekarskich. Był to jedyny może z młodszego pokolenia artysta, którego talent wrodzony wspierała głęboka i gruntowna uniwersytecka nauka. Pokój jego popiołom i pamięć dozgonna we wspomnieniu licznych jego kolegów i przyjacieli.

ROZMAITOŚCI.

KALENDARZE POLSKIE Z ROKU 1752 i 1757.

Najsławniejszymi kalendarzami w dawnej Polsce były kalendarze krakowskie. Alma Mater Jagellonica, wydała wielu mężów, którzy obok astronomii trudnili się — jak to powszechnem było w średniowiecznej Europie — także astrologią. Dość wspomnieć Jana z Głogowa, Wojciecha z Brudzewa, nauczyciela Kopernika, lub też Michała z Wrocławia. Mężowie ci trudnili się obok pracy zawodowej także układaniem kalendarzy, które bardzo były prymitywne pod względem powierzchowności i treści. Obok świąt zawierały one co najmniej dwuznaczne prognostyki o pogodzie, chorobach i polityce.

Po kalendarzach krakowskich zażywały największej sławy kalendarze zamojskie, wydawane przez profesorów astronomii i matematyki przy byłej akademii w Zamościu, w szczególności kalendarze wydawane od r. 1674—1695 przez Stanisława Niewieskiego, o którym ówcześni Polacy powiedzieli, że:

Nie zgadnie pan Niewieski,
Co zrobi Pan Niebieski.

Od r. 1725 wydawał przy tejże akademii przez długi czas „kalendarz polski i ruski“ Stanisław z Łązów Dun-

czewski „obojga praw doktor, profesor matematyki i Jaśnie Oświeconego Trybunału Koronnego Geometra przysięgły“.

Mam dwa takie kalendarze: jeden z r. 1752, drugi z r. 1757; więc przytoczę wam niektóre z nich ustępy.

Kalendarz r. 1752 liczy na karcie tytułowej chronologię w sposób następujący:

Od stworzenia świata r. 5701.
Od założenia Rzymu r. 2501.
Od początku Imperyi Rzyms. r. 1780.
Od początku Królestwa Polskiego r 1202.
Od początku W. X. Litewskiego r. 1356.
Od początku Wiary Św. w Polsce r. 785.
Od Unii W. X. Litewskiego r. 175.
Od ustawy Trybun. Koron. r. 175.
Od założenia miasta Zamościa r. 172.
Od założenia Akademii Krakowskiej przez króla Kazimierza r. 409.
Od wznowien. tejże przez Jagieł. r. 353.
Od założenia akademii Zamojskiej r. 163.
Od śmierci Jana Zamojskiego r. 147.
Od wiktoryi pod Chocimem r. 79.
Od wiktoryi pod Wiedniem r. 69.
Od szczęśliwej koronacyi Najjaśniejszego króla Imci Augusta III. zacznie się rok 19.

poczem mówi o złączeniu planet z księżycem. Ustęp ten wcale jest ciekawym. W nim przepowiada pan Dunczewski, że złączenie Saturna z księżycem: białogłowom prostym i podróżnym szkodzi; Marsa: drogi uprzykrzone i niebezpieczne czyni, cholerę mnoży; Słońca: akcye ludzkie tai y pokrywa, do sekretu dobry; Wenery: Małżeństwo stanowi, pospólstwu i Damom dobry.

Dalej wspomina kalendarz o „dniach złych do różnych akcyi gospodarskich y interesów“. Dni takich złych wymienił szanowny astronom 91, a więc czwartą część roku. Poddać to tylko próżniakom i leniuchom, a mają znakomity powód i wymówkę, by się od pracy usunąć. Czy też przodkowie nasi nie wierzyli przypadkiem w takie zabobony?

Po tych „złych“ dniach, czyli jak je obecnie tylko baby feralnymi nazywają, następują miesiące ze swymi świętami. Ciekawych tam można doczytać się przepowiedni!

Posłuchajmy niektórych:

„Dzień 22go stycznia, y około tego, pożyteczny, y do przeproszenia lub zgody sposobny; rodzącym się dla życia y honorów najlepszy.

„Dzień 30go stycznia i około tego literatów y kupców inkommoduje.

„Dzień 25go marca y około tego literatom y kupcom sprzeciwia się; rodzący się na umyśle y w mowie bywa niesposobny i głupi.

Dzień 26go kwietnia y około tego wojny, utarczki, choroby zaraźliwe i kontempt sprawuje; urodzonym kamień sporządza, przeszkadza życiu y fortunie.

Dzień 8go września y około tego sprzeczki i kłótnie sporządza; rodzącym się umysły miesza“.

Po 12 miesiącach następuje „Praktyka astrologiczna na rok Pański 1752“ rozpoczęta wierszami treści religijnej, ale wierszami, do których autorstwa nawet autor Erotek by się nie przyznał, poczem następują cztery pory roku przeplatane oryginalnemi sentencyami łacińskiemi, wraz z przekładem polskim.

Warto poznać niektóre z tych sentencyi dla ich oryginalności i prawdy, np.:

Alea, vina, Venus, tribus his est factus egenus.

Hexameter ten, jakkolwiek kulejący, daleko lepiej brzmi w przekładzie polskim:

„Kości y Wenus, Bachus z tołumbasem,
Fortunę z życiem gubią krótkim czasem;
Więcej zwojuje Bożek na antale,
Niż Alexander na swym Bucefale.

Nowa nasza ustawa przeciw pijaństwu ma być przybitą w każdym szynku i restauracyi. Zzmiast niej a przynajmniej obok niej stósowny by był ostatni dwuwiersz „Więcej zwojuje itd.“

Nunc est bibendum, nunc pede libero pulsanda tellus.

Wesołey myśli, przy kominie radzą,
Gdy Astra zimną jesień przyprowadzą,
Uwolń się od prac, jedz, napij się wina,
Dobra domowa bez dzikiej zwierzyna.

Tego rodzaju sentencyami przeplatane są i przepowiednie; np. artykuł „o pokoju, zdrowiu, wodzie i ogniu“, pisze:

„Ani z zaćmieniów, ani z inszych przyczyn Niebieskich żadnej nie znaczy się rewolucyi Marsa wojennego, lubo rokiem teraźniejszym władnie: niejakie jednak zalatują postrachy osobliwie w Maju y Czerwcu przy cholerycznym czasie y wzajemnych koncertacyach, co Bogday się na prawnych terminach skończyło. Jeżeli będzie widziany kometa w przeszłey Jesieni r. 1751 lub w Zimie r. 1752 teraźnieyszey, wojna nieuchybna u Narodu wschodniego nastąpić ma“.

Munera placant hominesque Deosque.

Kaptuy, coć słuszney sprawy wesprzeć mogą,
Do swey wygraney nie chybisz tą drogą,
Nie żałuy datku, traktuy na obiedzie,
Ktoć nasmaruje, ten prędko pojedzie.

Straszne rzeczy przepowiada kalendarz z r. 1752 dla Wielkopolski, Województwa ruskiego, Gniezna, Poznania, Lwowa, Lublina i Zamościa. Posłuchajmy:

Dla tych y przyległych miejsc posucha do urodzajów przeszkodą będzie; żywności, zboża y owoców niedostatek, drogo. Różne choroby zaduszające serca, zagęszczą się bole gardła y szyi, także bole boków y kwartanny, to jednak nie długim czasem y nie bardzo znakomicie. Wołom i bydłu rogatemu szkodzi. Drugie zaćmienie, iż wcale widziane nie będzie, szkodzić nam nie może.

W końcu kalendarza wyliczone są „walnieysze jarmarki na r. 1752“. Wymienione tam miejsca na pięknym rozłożone są obszarze. Znajdziesz tam obok siebie, Sambor, Mińsk, Ołykę, Łuck, Lwów, Lublin, Wilno, Pińsk itd. Gdy te jarmarki czytasz, przypomni ci się, że ziemia twoja obszerniejszą była niż dzisiaj..

Trochę rozsądniej ułożony jest kalendarz z r. 1757

Opuszczone już w nim są przepowiednie co do losu ludzi w tym lub owym dniu urodzonych, a zastąpione są przepowiedniami o pogodzie, chociaż dwuznacznemi, na sposób: ibis, redibis non morieris in bello. Nawet mówiąc o zaćmieniu księżyca (4go lutego i 30 listop.) poczciwy astronom łaskawie a nawet jowialnie się wyraża:

Nie uważay na zaćmienie
Kiedy masz czyste sumienie,
Wszak ci się ćmi nieraz w głowie,
A nie wezmą cię biesowie.

„Jedz, pij i popuszczaj pasa“, musiało jeszcze w całej pełni kwitnąć u nas w r. 1757, kiedy astronom w sentencyach wciąż mówi o jedzeniu i piciu:

Choroba z kufla przypadnie
Ta co w nim przebywa na dnie,
Kto do gęby często niesie,
Ciągnąc mocno wnet przerwie się.

albo:

Nie trudno o nawalności,
Kiedy się najedzie gości,
Będzie ci w głowie trzeszczało,
Jeśli przepijesz nie mało,

na innem miejscu:

Nie szukaj guza, hałasu,
Lepiej się połóż dla wczasu,
Może Cię też kto w pysk chlusnąć,
Dał ci bies pić, nie da usnąć.

wreszcie:

Nie trzeba tu Cyrulika,
Jeśli gardło dobrze łyka,
Stawiay bańki na stół trzodą,
Winem go płucząc nie wodą.

P. Dunczewski daje też bardzo dobry sposób do uchronienia się przed zimnem:

Kto w drogę jedzie lub bieży
Trzeba mu dobrej odzieży:
Mało go burka zagrzeje,
Lepiej kożuch, gdy go wdzieje.

Musiano się w Polsce wiele w owych latach procesować, kiedy kalendarz z r. 1757 tyle rad daje do dobrego przeprowadzenia procesu:

Kiedy się twa sprawa toczy,
Otwórz worek, zamknij oczy;
Pójdzie też po twojej stronie,
Gdy do niej przyprzężesz konie.

Na innem miejscu na tę samą nutę:

Chceszli mieć dekret łaskawy,
Poprzyj dobrze workiem sprawy,
Za nic uroda y broda,
Ukłon za ukłon, to moda.

lub:

Żal ci grosz łożyć na prawo,
Wolisz się użerać żwawo.
Wiedz, że kto w sprawie nie traci,
Ten zawsze dwa razy płaci.

Czy ówczesne stosunki w Polsce tak były smutne, żeby w sądach można było wszystkiego dokazać workiem? Wątpię i bardzo wątpię. Wiadomo mi tylko, że łatwiej to było uczynić przez protekcyę. Czytałem wiele oryginalnych listów pisanych do pewnego wojewody około r. 1752—1756. W listach tych cześnikowie, łowczowie itd. proszą o protekcyę przed trybunałem, ale nie zdarzyło mi ani śladu znaleść na to, aby workiem można sprawę wygrać.

Jak cenione były kalendarze zamojskie, widać to ztąd, że je drukarze innych miast Polski przedrukowywali i jako kalendarze zamojskie sprzedawali. Sądy nieraz musiały w tym kierunku interweniować.

Z tego też powodu kalendarz z r. 1757 kończy się „przestrogą“.

„Czynię wiadomo, iż się na teraźniejszych kalendarzach pieczęć nie kładzie, jednak upraszam wszelkiey Zwierzchowności nad swojemi Drukarniami, aby od nikogo pod mojim imieniem kalendarza do przedrukowania nie przyjmowali, bo za to odpowiadać muszą y ci, którzy, takowych rzeczy dopuszczają się.“

═ Prowizya od prowizyi. Pewien notaryusz spisał układ, według którego biorący pożyczkę miał płacić 8 pct a w razie nieuiszczenia się z procentów pewną karę konwencyonalną i procent od zaległych procentów. Najwyższy trybunał orzekł, że choć układ ten ważny, jest zarazem niemoralny i niehonorowy i skazał za to notaryusza na 500 mrk.

═ Zboże sandomierskie na drugiej półkuli. Departament rolnictwa w Waszyngtonie odniósł się do warszawskiego konsulatu Stanów Zjednoczonych o przesłanie do Ameryki 35 korcy pszenicy sandomierskiej, gdzie ma być rozdaną pomiędzy większych właścicieli ziemskich i użytą na nasienie.

Sandomierskie górą!...

Od Redakcyi.

Najmocniej przepraszamy Szanownych prenumeratorów, że na listy ich w przedmiocie premii dla braku czasu nie odpowiadamy. Odpowiedź na wszelkie wątpliwości jest w prospekcie.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 7.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.